KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM
POLITYCZNO-SPOŁECZNYM
I LITERACKO-ARTYSTYCZNYM

ROCZNIK IV

K R A K Ó W 1 8 9 9

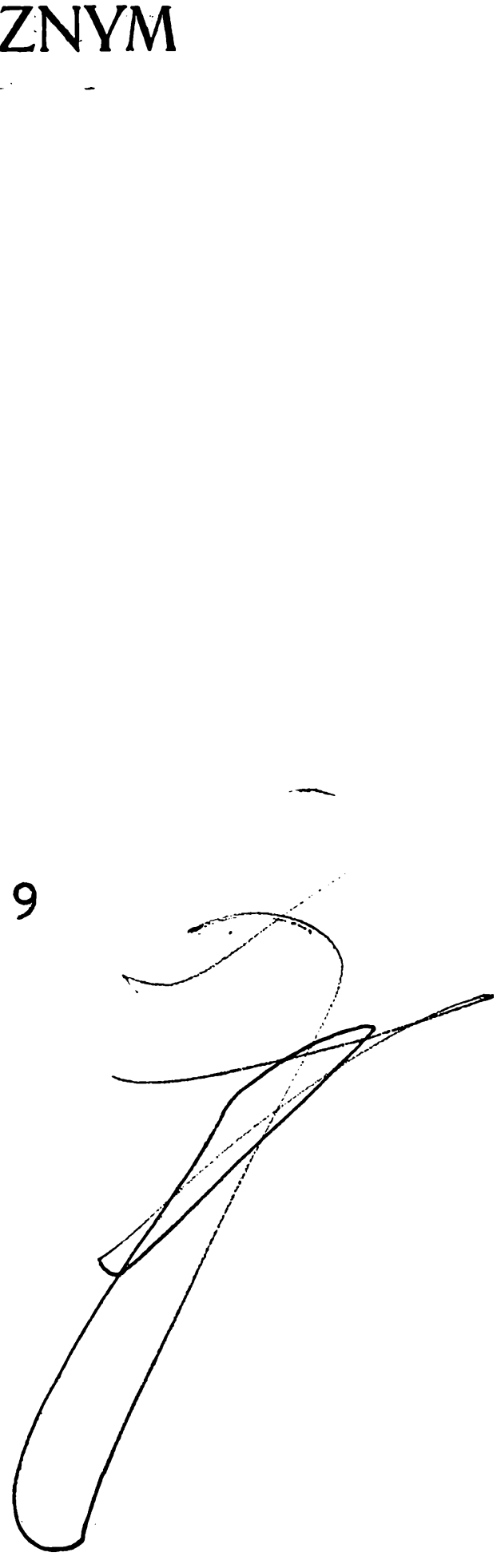

V-490

T R E Ś Ć .

ARTYKUŁY POLITYCZNE:

Nasza polityka. Ign.Daszyński 1
O sejmie i kraju. Poseł F.Winkowski 49
113
Kilka słów o walce narodowościowej
w Austryi. Żegota 181
Babie lato. Żegota 249
§ 14. Żegota 297
Znachorzy. Żegota 417
Skazaniec polityczny. Fr.Czerski . 6

ARTYKUŁY SPOŁECZNO-NAUKOWE:

Internezzo. Wł.Kotwicz 14
Stręczenie pracy. K. Nacher 57
Rewizye zasad socyalizmu. Res .65,141
Proletaryzacya Galicji.W.Feldman 76,129
Ruch robotniczy w zagłębiu dąbro-
wieckim. St.Os..arz 122
Ludwik Büchner. Dr M.Massonius . . 151
Niepodległość Polski w programie
socyalistycznym. M.Luśnia . . . 187
Nędza Rosyi w cyfrach. Hannibal 196,260
Szkice psychologiczne. L.Winiarski 205
267.
Prawa wyjątkowe. Dr Z.Mirski . . . 253
Ewolucya polityczna Czech współ-
czesnych L.Wasilewski 304
Wielki przemysł w Królestwie Pol-
skim. Res 316
Stosunki polityczno-społeczne w za-
borze pruskim. St.Os..arz . . . 422
List w sprawie Dreyfusa. A.France . 361
Ubezpieczenia ochronne robotników
w Austryi. K.Nacher 365

Czynniki polityczne pod zaborem rosyjskim. St.Os..arz . . . 372
Przyczynki do charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego. J.Trąbczyński 436
Świeże prądy. S.Karski 473
Ważniejsze braki w ustawie o kasach dla chorych. K.Nacher . 482

ARTYKUŁY LITERACKIE:

Młoda Polska. J.Sten 21,85,163,276, 334,386,451, 490.
Z literatury obcej. M.Posner-Garfeinowa 28
Kilka słów o modernizmie. M.Posner-Garfeinowa 91, 225
Młoda Rosya. A.Neuwert-Nowaczyński 326
Anatol France. Malwina Posner-Garfeinowa 393

POEZYE i NOWELLE:

Rabi Pelaloj-Ben-Pedas. J.Żuławski (wiersz) 19
Codzienny gość. (wiersz) F.Eisenberg 27
Jutrznia (wiersz) A.Niemojewski 90
Osioł i bajkopis (bajka) W.Wolski109
Sonet. Z.Dębicki 151
Z cyklu "Karma" (wiersz). Filip Eisenberg 161
Niedowiarek. (Nowela) W.Orkan . 174
Fragment (wiersz) F.Nowicki . . 212
Spóźniony śpiewak (wiersz) K.Tetmajer 215
Z poematu "Na szczycie" (wiersz) K.Tetmajer 215
Przy lutni (wiersz).A.Niemojewski217
Lelewel (wyjątki z dramatu) St. Wyspiański 218

Rabi Jeroboam-Ben-Lapidoth.(wiersz)
J.Żuławski 220
W nocy. Świt. (sonety) W.Orkan . . . 221
Sonety. Z.Dębicki 222
Na sen wieczny. (wiersz) F.Eisenburg 223
Odi. (wiersz) J.Jedlicz 223
Sen Haskiela (nowella) J.Sten. . . . 240
Wiosenny wieczór. (nowella) W.Dalecka287
Prymicyant (nowella) J.Jedlicz . . 344
O zmierzchu. (nowella) W.Reymont . . 407
Sama samiuteńka (nowella,przekł.z rus)
Wasyl Stefanyk 413
Zdekłe. (gawęda tatrzańska)A.Stopka 416
Wysłaniec(z cyklu "Legendy",nowela)
A.Niemojewski 465
Bajka nie bajka (gawęda) A,Stopka . 471
Sanguina (nowella) Theresita 504
W sieci (nowela) J.Jedlicz 513

LUŻNE KARTKI:

(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Lwi pazur (List z Warszawy). ANiemojewski. - List ze Lwowa. X.- Krachy i szwindle. Z. - Przegląd teatralny) 33
(Z karowskiego bruku. Sotwaros. - List ze Lwowa. X. - Emigracya. Z. - przegląd teatralny) 97
(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Miraże dla głodnych i łaknących. Z) 167
(Z krakowskiego bruku. U. - Narodowi katolicy.Z. 8 Przegląd teatralny. - Wspomnienie pośmiertne) 233
(Oryginalny jubileusz. - Przegląd teatralny Odezwa Komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego) 279
(Ogrób poety.Z. - List z Warszawy. A.N.) 339

(Okruchy. Far. - List z Warszawy A.N. - Z Goreców. W.O. - Przegląd teatralny) 400
(Za kulisami polityki.Z. - Antagonizmy M.Z. - List ze Lwowa. X. - Przegląd teatralny) 456
(Po wielkim procesie. X. - Dyktatura policyjna. - Komitet młodzieży) . . 495

Sprawozdania . . . . . .47,285.

ŻEGOTA

BABIE LATO.

Pisarz angielski Lecky opowiada w swojej historyi rozwoju moralności o bandach młodych, zfanatyzowanych chrześcian, którzy w pierwszych wiekach naszej ery wybierali się na systematyczne niszczenie cudownych świątyń i pomników greckich i rzymskich. Kamień na kamieniu nie pozostawał z przepięknych ucieleśnień artyzmu klasycznego. Sztuka cofnęła się też na przeciąg setek lat do stanu półdzikiej surowości, aż wytrysła udoskonalonym gotykiem w górę ku niebu. I znów wieki minęły, a potrzaskany artyzm grecki zabłysnął w formach renesansu i podbił na nowo świat...

Dziś te przemiany, które dawniej wieków potrzebowały, odbywają się znacznie szybcej. Pulsa społeczeństw w przyśpieszonym takcie dziś uderzają, więc na zwycięstwo Odrodzenia wobec ataków band klerykalnych w Europie, nie tak długo może czekać będzie potrzeba...

Ale tymczasem okropnie grasują czarne kohorty w całej zachodniej połaci kontynentu. Francya, Belgia, Włochy, Hiszpania, Austrya i część Niemiec trawią się w ogniu walki z klerykalizmem wojowniczym i zajadłym.

Na wszystkich polach publicznego życia staje się oko w oko z obudzonym napowrót i jakby odrodzonym na nowo prądem, który posługuje się równie dobrze różańcem, jak barykadą, ogarnia salony i zstępuje do motłochu płatnych krzykaczy ulicznych, sadowi się w gabinetach ministeryalnych i fronduje w redakcyach pism, bryzgających codziennie obelgą, jadem, żółcią i denuncyacyą.

Alians „kropidła z mieczem“ — słowa obecnie we Francyi często powtarzane — grozi moralnym i materyalnym interesom całych już narodów, a pomniki liberalizmu: powszechna, świecka i obowiązkowa szkoła dla ludu oraz konstytucya, zdobyte

w piątym i siódmym lat dziesiątku, z trudem już tylko walczą o swoje istnienia.

„Kultura“ świecka woła rozpaczliwym głosem o ratunek.

Wobec tych współczesnych nam walk namiętnych, opłaci się spokojna ich analiza, rozłożenie zjawisk złożonych na czynniki społecznie i politycznie prostsze, choćby taki rozbiór mało przemawiał do fantazyi biednego czytelnika gazet, karmionego z jednej strony „żydowsko-masońsko-anarchistycznem“ straszydłem, a z drugiej „jezuicko-inkwizytorską“ intrygą.

We wzroście potęgi klerykalizmu uderza nas przedewszystkiem ogólne, postępujące ciągle osłabienie uczuć głębszej religijności mas. Kościoły wprawdzie nigdzie pustką nie stoją, i owszem buduje się nawet coraz to nowe, ale rodzina, przemysł, handel, urząd itd. stały się w swoich obyczajach i zwyczajach nader mało religijnymi. Życie towarzyskie, sztuka, publicystyka i t. d. zwlokły z siebie powoli i nieznacznie wszystkie ślady poczucia religijnego. Nawet dawna poezya wizyi i szałów, będąca niegdyś wyłącznym przywilejem mnichów i mniszek, przeszła dziś do kawiarni i do *chambre separée*... Dawna moralność religijna jest dzisiaj czemś niezmiernie rzadkiem, spotykanem u ludzi starszych, których nazywają „oryginałami“ i dziwakami. To co zostało u dołu, u chłopa i drobnomieszczanina, może być miarą tego, co u góry i w środku społecznym już po drodze pogubiono.

Klerykalizm nie jest więc wcale reakcyą religijną, lecz występuje jako reakcya oparta o inne, o świeckie interesy. I tutaj widzimy dziwne, na pozór niezrozumiałe zjawiska. We Włoszech papież domaga się tronu świeckiego dla siebie, we Francyi chcą klerykalni politycy wskrzesić tron choćby dla rozpustnych i głupich Orleanów, w Austryi usuwa się konstytucyą na korzyść tendencyj absolutystycznych, a encykliki papieskie polecają narodowi „buntowników“, Polakom, baczyć w pierwszym rzędzie na starożydowską maksymę tchórzliwie opurtunistyczną: „cesarskie cesarzowi“...

W imię tych dziwnych haseł ma powstawać lud pobożny, ma składać ofiary z życia i mienia w walce o ich urzeczywistnienie? Toż to stary „cezaropapizm“, stary sojusz dwóch autorytetów przemocy fizycznej i ujarzmienia duchowego z wieków średnich. To nie żadne duchowe „odrodzenie“ Kościoła, lecz ta sama polityka kościelna, od wieków prowadzona z coraz to gorszym skutkiem.

A jednak należy zwrócić uwagę na zjawiska towarzyszące. Z czego Kościół wojujący czerpie dzisiaj odwagę i siłę do tak energicznych wystąpień na zewnątrz? Oto jedynie i wyłącznie z stra-

sznych warunków socyalnych, z niezadowolenia mas chłopskich, rzemieślniczych i robotniczych. Hasła tu wybitnie „świeckie“: interesy głodnego brzucha, nędza i niedola drobnej produkcyi.

„Kultura“ burżuazyjna okazała się za płytką, aby uszczęśliwić głodne masy, a etyka na tle tej kultury wyrosła, wywołuje w tych masach raczej przekleństwa, niż zachwyt. Ztąd klerykalizm czerpie sojuszników, ztąd nagle Leon XIII. zostaje mianowany „papieżem robotniczym“, a we Francyi, Belgii i Austryi mamy partye, czy kierunki „chrześcijańsko-socyalne“.

Cezaropapizm nowoczesny szuka w ten sposób oparcia w masach. I to zjawisko nie nowe; próby tych dziwnych sojuszów zna historya w wielkiej liczbie! Podobnym objawem była fikcya „socyalnego królestwa“ Hohenzollernów, która prysła przy pierwszym wielkim strejku górników westfalskich. Dzisiaj po latach zaledwie dziesięciu ani jeden człowiek nie wierzy w „socyalne królestwo“, chociaż niejednemu uczciwemu konserwatyście podobny sojusz się nadzwyczajnie uśmiechał.

Czekajmy tylko cierpliwie jeszcze czas jakiś, a podobnem fiaskiem skończy międzynarodowa akcya papiesko-monarchicznego socyalizmu w krajach katolickich.

Badając główne dalsze przyczyny tej niezawodnej klęski, widzimy najpierw emancypacyą narodową. jako osłabienie papizmu i absolutyzmu. Emancypacya ta była i jest podwójnie rewolucyjną, raz jako wobec Kościoła czysto „pogańska“, albowiem Kościół nigdy na prawdę nie uznawał narodowości, jako źródła prawa; drugim znów razem jako twór demokratyczny, wykluczający despotyzm.

I tak, jak na polu społecznem papizm podkopuje własne korzenie, zajmując się ludem z punktu widzenia interesów „żołądkowych“, stawiając na pierwszym — z konieczności — planie doczesne dobro klasy pracującej, tak samo zapożycza się u szowinistów n. p. we Francyi, w siły czerpane z arcypogańskiego źródła. Ewolucya ruchu społecznego i emancypacyi narodowościowej nie stanie jednak wcale tam, gdzie tego zażąda autorytet Rzymu, choćby poparty przez monarchiczną, świecką egzekutywę, ale pójdzie dalej, do swoich celów i odrzuci jeszcze dalej papizm i popierany przezeń monarchizm absolutny.

Pójdzie zaś dlatego, że ewolucya ogarnęła wielkie masy ludzkie i zmieniła już samą istotę hierarchii kościelnej. Jeżeli papież, nauczony smutnemi doświadczeniami, złożył w końcu wszystkie swoje kapitały u Rotschilda, jeżeli biskupi i dygnitarze kościelni muszą stać w pierwszym rzędzie wśród kapitalistów danych krajów, skoro

kler wzięto na etat pensyjny urzędników państwowych, to rzecz oczywista, że całą organizacyę kościelną wsunięto niejako w system ekonomiczny naszych czasów, gdzie ona wcale nie dyktuje praw, lecz przeciwnie, praw tych słuchać musi. Sprawa to przesądzona.

Nie chcemy przez te wywody umniejszać bynajmniej potęgi organizacyi kościelnej. I owszem, nigdy może nie była ona tak szeroką i potężną, jak dzisiaj. Ale duch ożywiający dawniej Kościół, utracił wszelką samodzielność i wszelki polot wieków dawnych. Ogromna ta maszyna porusza się w kierunku haseł cudzych, wziętych z dołu i z góry, niejednolitych, sprzecznych w sobie i dlatego obłudnych. Tylko zamęt i rozkład w państwowych zarządach wychodzi temu walczącemu klerykalizmowi na dobre; jak pleśń bogata obrasta on niezdrowe i gnijące układy państwowe.

Zrujnować może, stworzyć i zjednoczyć nie potrafi.

Ztąd zjawisko napozór niewytłómaczone, że tam nawet, gdzie klerykalizm ma większość parlamentarną, nie jest na dłuższą metę wcale zdolnym do rządów; zastosowanie go w cokolwiek większej dozie działa jak trucizna — paraliżująco. Wiedzą o tem doskonale sami klerykali i ztąd wieczne narzekania w ich własnym obozie na kierowników, jakoby nieśmiałych i niezdecydowanych na zatrucie natychmiastowe całych narodów.

Gdzie tylko klerykalizm przekroczyć usiłował granice naznaczone mu przez rozwój kapitalizmu, tam ginęła jego ofiara i on sam w końcu zmarnieć musiał. Ztąd wieczne cofanie się tej tak potężnej organizacyi, wieczne tłumienie jej gorętszych objawów, celem uniknięcia raptownej rewolucyjnej reakcyi społeczeństw.

Klęska w sprawie Dreyfusa i belgijskie rozruchy są klasycznym tego przykładem.

Pozostaje często tylko „mniejsza“ robota dezorganizacyjna, jako kompensata i zadatek przyszłości. Tutaj już klerykali nie potrzebują się krępować; tutaj zmuszają świeckie państwo do liczenia się z nimi na każdym kroku, przez dotacye, beneficya, przywileje faktyczne lub ustawowe i ustępstwa w sądzie, szkole i urzędzie. Wszystko to razem wzięte, jednak szkodzi im u ludu czasem więcej, niż pomaga. Autorytet to bowiem nie własny, lecz niejako wypożyczony u warstwy rządzącej, która go przytem za darmo nie udziela. W zamian za mnóstwo przywilejów, musi klerykalizm pełnić ową drobną, ale ciągłą służbę strażowania przy kasach pieniężnych, co odbija się potem na stosunku do warstw ubogich, bardzo złem okiem na tę służbę patrzących i zadaje dotkliwe ciosy szczerej i nieraz pięknej religijności biedaków.

Ten konflikt wieczny osłabia codziennie wewnętrzną spójność i siłę klerykalnych stronnictw i dlatego słyszymy ustawicznie z pośród młodych księży hierarchii głuchy pomruk niezadowolenia i czytamy nieraz głosy głęboko rewolucyjne pisarzy w sutannach. Dla klerykalizmu dylemmat to ciężki i w dzisiejszych stosunkach niemal nie do rozwiązania.

Dopiero przez oddanie samodzielności Kościołowi, przez wyzwolenie go z oficyalnej protekcyi materyalnej państwa, możnaby inaczej sprawę stosunku Kościoła do państwa postawić.

Ale właśnie dzisiaj najmniej o tem słychać wśród kleru. Przeciwnie co chwilę żądają księża, aby państwo dało im byt wygodniejszy, aby zrównało z urzędnikami na punkcie pensyi itd. Jest to objaw upadku ducha kościelnego, upadku, którego nawet wielu księży nie rozumie, a z którym jednak liczą się mądrzy i przezorni sternicy nawy kościelnej. Jest to już świeckość w samych zastępach hierarchii. O cofnięciu się z tej drogi niema więc narazie co myśleć, a na niej klerykalizm może wprawdzie odnieść wiele tryumfów uwagi godnych, lecz wszystkie one będą drogo kosztowały wewnętrzną siłę Kościoła katolickiego.

Na tej drodze Kościół daleko też pójść nie może; prędzej czy później zjawią się tutaj reformatorzy, którzy najpierw będą musieli przepędzić politykujących klerykałów, aby uratować Kościół.

DR. Z. MIRSKI.

PRAWA WYJĄTKOWE.

Litwa, Wołyń, Ukraina i Podole, jak wiadomo, pozostają dotychczas pod prawem wyjątkowem, mającem na celu nietylko wywłaszczenie, lecz i wytępienie żywiołu polskiego. Sprawa ta od lat wielu jest przedmiotem uwagi sfer rządzących w Rosyi, a obecnie nawet krążą pogłoski, że postanowiono uregulować prawa własności ziemskiej w powyższych prowincyach. Wśród głosów, które ostatniemi czasy w tej sprawie się odezwały, wyróżnia się dodatnio obszerna praca w języku rosyjskim, skreślona przez Polaka, adwokata w Petersburgu, p. Bolesława Olszamowskiego[1]). Nie zgadzamy się

---

[1]) B. Olszamowski. („Prawa własności ziemskiej w Kraju zachodnim"). Petersburg. 1899.

wprawdzie z założeniem i celem rozprawy: p. Olszamowski łudzi się, że rząd zechce poczynić ustępstwa dla żywiołu polskiego i dlatego sili się go przekonać, że prawa wyjątkowe co do władania ziemią zbyteczne są już i nawet dla państwa niekorzystne. Chytrość to naiwna, a nadzieja na niczem nie oparta. Wartość też pracy p. Olszamowskiego leży wyłącznie w sumiennem obrobieniu materyału historycznego i statystycznego. Pracę tę więc obieramy sobie za faktyczny przewodnik, chcąc zapoznać za pośrednictwem „Krytyki“ ogół zakordonowy z warunkami, w których się znajduje polska własność ziemska w „kraju zabranym“.

Przez kilka wieków na terytoryach, o których mowa, nie było żadnych ograniczeń co do praw własności ziemskiej na gruncie narodowościowym. Istniało tylko pewne skrępowanie co do stanów, ale i to straciło racyę bytu po zniesieniu pańszczyzny. Wprawdzie w konstytucyi Sejmu roku 1562 i 1563 powiedziano (§ 46)..... „A wszakże nie chcąc *diminuere bona nobilium*, dla służby R. P. takowe imiona szlacheckie, któreby konfiskowane, będziem dawać innym szlachcicom Polakom“. A dalej: („Dobra na Króla JMci przypadające“), „Dobra wszelakie, któreby na nas przypadły, albo przez woyny, albo *iure caduco,* albo daniną, albo zapisaniem iakim, abo iakimkolwiek inszym przypadkiem, wedle prawa pospolitego: takowe dobra będzie Nam y potomkom naszym wolno szafować y dawać wedle woli Naszey. A wszakże tylko Polakom stanu szlacheckiego dla nieumnieyszenia służby woyenney“. Ale już w konstytucyi Sejmu 1576 r. postanowiono, że dobra powyższej kategoryi król obowiązany będzie dawać, stosownie do prawa, dobrze zasłużonym szlachcicom obu narodów: polskiego i litewskiego. Potem Statut litewski postanawia, że nikt z ludu prostego stanu niema prawa przyswajać sobie wolności i przywilejów. Może tylko otrzymywać je drogą zasług, jako nagrodę za męztwo w walce z nieprzyjacielem. Dlatego też człowiek z prostego stanu, nieposiadający wolności szlacheckiej, w żaden sposób otrzymać nie może gruntów szlacheckich; ale krewni właścicieli tych gruntów, zapłaciwszy ich wartość takiemu posiadaczowi z prostego stanu, mogą otrzymać owe dobra, chociażby nawet już upłynęła ziemska dawność.

Wszystkie tego rodzaju rozporządzenia i postanowienia weszły w życie na olbrzymich obszarach Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy. Takie podboje kultury polskiej, która przeniknęła do wszystkich warstw społecznych owej ziemi a następnie do wszelkich instytucyj państwowych, otrzymały nietylko mocne podstawy, jako fakt doko-

nany, ale doczekały się nawet uświęcenia przez akta prawodawcze Rosyi.

Ze zmianą polityki rosyjskiej, w r. 1864 cyrkularz ministra dóbr państwa, generał-adjutanta Zielonego, obwieścił poraz pierwszy ograniczenie w prawach władania ziemią przez Polaków. Następnie 10 grudnia (st. st) r. 1865 spadły wielką ciężką lawiną prawa wyjątkowe. Ich treść wykazuje, że miały one na celu jedynie utrwalenie w „prowincyach zachodnich“ żywiołu rosyjskiego.

Do tego jednego celu dążono kosztem interesów ekonomicznych i zasady równouprawnienia. Przedewszystkiem starano się ograniczyć Polaków i Żydów pod względem władania ziemią; następnie te same ograniczenia zastosowano do cudzoziemców. Jednocześnie ludziom pochodzenia rosyjskiego dano różne ulgi i przywileje. Taki stan rzeczy trwał przeszło 30 lat. Czy wobec zmiany warunków utrzymanie nadal praw wyjątkowych po tak długim okresie ma racyę bytu? Czy nie przynoszą one szkody państwu? Fakty z łatwością odpowiedzieć mogą.

Faktem jest, że w ciągu trzydziestolecia własność polska w prowincyach zachodnich zmniejszyła się prawie o połowę, może nawet tylko o jedną trzecią. Rozkładając to na lata, otrzymamy stosunek zmniejszania się 1% na rok. Wzrost posiadłości rosyjskiej w powyższym okresie posuwał się znacznie i w ciągu trzydziestolecia doszedł do 50%. Przyczyna owej nierównomierności stosunkowo powolnego zmniejszania się posiadłości polskich i wielkiego wzrostu rosyjskich tkwi w tem, że Rosyanom sprzedawano na warunkach przystępnych dobra skarbowe.

Zdaniem p. Olszamowskiego, rola praw wyjątkowych w prowincyach zachodnich jest już skończona, więc i wszelkie ofiary moralne i materyalne w tej mierze będą już bezowocne. Prawo z 10 grudnia 1865 roku ogłoszono w chwili, gdy było jeszcze mnóstwo dóbr skonfiskowanych. Jednocześnie z prawem powyższem ogłoszono przepisy, na których mocy osoby wysłane administracyjnie z prowincyj zachodnich, musiały swe dobra sprzedać Rosyanom lub zamienić na majątki w guberniach wielkorosyjskich. Dodajmy jeszcze tę okoliczność, że w r. 1865 i latach następnych w guberniach zachodnich tudzież w całej Rosyi rolników dręczyło przesilenie ekonomiczne, a ziemianie-Polacy w prowincyach zachodnich nie mogli korzystać z kredytu bankowego. Taki stan rzeczy sprzyjał jeszcze bardziej przechodzeniu majątków z rąk polskich do rosyjskich. Obecnie zaś dóbr sekwestrowanych i sprzedaży obowiązkowych niema wcale; wielkie przesilenie ekonomiczne przeszło, a po

zastosowaniu praw wyjątkowych dobra ziemskie pozostały w rękach tylko tych Polaków, którzy się odznaczają energią, przezornością i umiejętnością prowadzenia gospodarki. W takich warunkach prawa wyjątkowe nietylko tracą racyę bytu, ale nawet w dalszym ciągu stosowane, mogą wywołać szkodliwe następstwa.

Autor dowodzi, iż prawa te powinny być zniesione jeszcze z innych względów: Komisya, stworzona przed trzydziestu kilku laty, znalazła, że w dziewięciu guberniach zachodnich na dziesięć milionów ludności małoruskiej, białoruskiej i w części litewsko-żmudzkiej, Polacy stanowią stosunkowo bardzo małą liczbę, że jednak ludność tej kategoryi, złożona przeważnie z właścicieli ziemskich i mieszczan, nadaje całemu krajowi charakter polski i nie pozwala masom wcale niepolskim, prawidłowo rozwijać się tudzież korzystać na równi z innymi poddanymi z reform, że siła tej ludności (polskiej) tkwi w korporacyjnej odrębności posiadaczy majątków, która nie dopuszcza żadnych innych żywiołów, zwłaszcza rosyjskiego. Skutkiem tego wydano prawo z 10 grudnia 1865 r., zakazujące Polakom nabywania majątków ziemskich w guberniach zachodnich.

Ta korporacyjna odrębność i jej następstwa mogły mieć jeszcze jakieś znaczenie przed r. 1865. Obecnie kwestya owa już przebrzmiała. Reforma włościańska do samych podstaw zburzyła wszelkie przeszkody w nabywaniu majątków szlacheckich przez wszystkie stany.

„Polski ustrój społeczny — mówi p. Olszamowski — nie był zamkniętą sferą arystokratyczną, lecz właściwie demokratyczną. Demokratyzm ten był typowo szlachecki. Szlachta dźwigała cały ciężar obowiązków publicznych i stopniowo wciągała do swoich szeregów ludzi zasłużonych z innych stanów. Następnie reformy z szóstego dziesięciolecia wieku niniejszego a potem burze polityczne r. 1863 jeszcze bardziej sprzyjały demokratyzacyi ziemiaństwa polskiego. Jeżeli jeszcze dodamy tę okoliczność, że Polacy nie mogą zajmować posad rządowych w guberniach zachodnich, że nawet w instytucyach stanów przedstawiciele szlachty (marszałkowie) są mianowani przez rząd i to z pośród Rosyan, że wreszcie w guberniach zachodnich około 50% ziemi należy do Rosyan — to chyba dowody te aż nadto stwierdzą zbyteczność praw ograniczających, które miały na celu zniszczenie korporacyjnej odrębności szlachty polskiej“.

Na prawa te autor spogląda także ze stanowiska interesów ogólnopaństwowych i wykazuje szkodliwość owych środków. Prze-

dewszystkiem prawa te wywołały upadek materyalny gubernji zachodnich. Kwestye ekonomiczne mogą być rozstrzygane i regulowane tylko według praw ekonomicznych: podaży i popytu. Otóż wbrew tym prawom wytworzyły się tu nowe stosunki w rolnictwie, głównie w sprzedaży i nabywaniu dóbr ziemskich. Miejsca ubywającego żywiołu ziemiańskiego nie zajęli inni z tych samych stron. Według zaś praw ekonomicznych nie można było liczyć na kolonistów wielkorosyjskich, gdyż emigracya zwykle idzie z zachodu na wschód, z miejscowości odznaczających się wyższą kulturą rolną do zajmujących niższy szczebel. „Idea patryotyzmu w tym razie nie miała i nie mogła mieć znaczenia, gdyż przesiedlenie wbrew prawom ekonomicznym, zorganizowane jedynie tylko gwoli patryotyzmowi, świadczyłoby o wojowniczym nastroju. Taki zaś wojowniczy patryotyzm może być tylko właściwością rządów lub osób pojedyńczych, nigdy zaś mas ludu, które są popychane siłą praw ekonomicznych i potrzeb materyalnych“.

W tych właśnie zjawiskach i prawach tkwi przyczyna, dla której poważny żywioł rolniczy z głębi Cesarstwa nie napłynął do gubernji zachodnich; większość zaś nowych właścicieli ziemskich zrekrutowała się z warstw urzędniczych i wogóle z ludzi, którzy nie mieli nigdy do czynienia z rolnictwem. Taki stan rzeczy oddziałał ujemnie na kulturę rolną w guberniach zachodnich.

Naturalnem następstwem prawa z 10 grudnia r. 1865 był wielki napływ do prowincyj zachodnich cudzoziemców i zniemczenie niektórych miejscowości, np. gub. Kowieńskiej. Ruch ten rozwinął się tak gwałtownie, że nareszcie rząd rosyjski spostrzegł niebezpieczeństwo i uznał za właściwe wydać najpierw r. 1887, a następnie w 1892 i 1895 prawa, mające na celu zupełne usunięcie cudzoziemców z prowincyj zachodnich. Tak więc skrępowanie Polaków pod względem władania ziemią, wpłynęło również na ograniczenie w tej mierze praw cudzoziemców.

P. Olszamowski krytykując prawa wyjątkowe, usiłuje przekonać władzę o ich szkodliwości. Dlatego też podkreśla fatalne następstwa nietylko ekonomiczne, lecz i moralne. Wynikły sprawy pogmatwane, trudne do rozplątania i wyświetlenia, zatarły się granice sprawiedliwości, gwoli ścisłemu wykonywaniu praw wyjątkowych. Jedną z ogólnych zasad prawa było to, że w sprawach cywilnych każdy może żądać przywrócenia tylko swoich naruszonych praw i interesów, domagać się przyznania mu czegokolwiek w imię własnych praw, nie zaś w imię interesów publicznych. O ile wchodzą w grę te ostatnie, Polak nie może jednak bronić tranzakcyi dokonanej.

(Postan. cywil. kas. dep. senatu 1883 r. N. 19). W ograniczającem atoli prawie z r. 1884, wydanem przeciwko „osobom pochodzenia polskiego“, wskazano zupełnie inną zasadę, którą wbrew poprzedniej zaczęła stosować praktyka sądowa. Do jakiego stopnia prawa ograniczające podkopują podstawy tej praktyki, świadczy następująca niekonsekwencya: Sądy tłómaczyły prawa ograniczające polską własność ziemską w tym duchu, że spadkobiercy „pochodzenia polskiego“, otrzymawszy wspólnie spadek, nie mogą się nim podzielić w myśl ogólnych praw cywilnych, stworzonych dla poddanych państwa rosyjskiego! Taki pogląd stosowano póty, aż cywilny departament kasacyjny senatu rządzącego w r. 1889 nareszcie wyjaśnił tę niewłaściwość. A oto jeszcze przykłady, wymownie charakteryzujące labirynt przepisów rosyjskich. Senat rządzący w maju roku 1888 orzekł n. p., że według prawa z 10 (st. st.) grudnia 1865 r. i 27 grudnia (st. st.) 1884 „osoby pochodzenia polskiego“ nie mogą na warunkach dożywocia korzystać z majątków ziemskich w „Kraju Zachodnim“; tymczasem prawo krępujące Polaków w tej mierze wydano w trzy lata potem, jako uzupełnienie rozporządzeń najwyższych z 10 grudnia r. 1865 i 27 grudnia r. 1884, a więc przed tem ograniczenie to nie miało podstaw prawnych, a jednak Polacy byli pozbawieni tych nawet przywilejów, których prawo nie odebrało im jeszcze. Wszelkie poczynione następnie poprawki i wyjaśnienia senatu rządzącego nie naprawiły już szkód, wyrządzonych przez praktykę sądową i administracyjną, posługującą się mglistymi przepisami.

Miejscowej władzy administracyjnej dano bardzo szerokie pole w stosowaniu praw wyjątkowych względem Polaków tak dalece, że wolno jej było (wbrew prawu z r. 1883) administracyjnie wysyłać tych „przestępców“, którzy zawarli tranzakcye niezgodne z prawami wyjątkowemi.

Skrępowanie przywilejów właścicieli ziemskich w prowincyach zachodnich szkodliwe jest ze stanowiska ogólno-państwowego: „Wpływając na zniżenie wartości ziemi w rękach właścicieli Polaków — i tamując jej obrót swobodny, prawo wyjątkowe sprzyja rozwojowi wśród ziemian polskich proletaryatu rolnego i umysłowego, czyli materyału bardzo podatnego na propagandę socyalistyczną, szkodliwą dla państwa i społeczeństwa“.

Aż do takich argumentów przekonywujących musiał się uciec p. Olszamowski, stojąc na lojalnym gruncie rzecznika spraw polsko-rosyjskich!! Podsunął straszydło, z którem doświadczone wróble biurokracyi rosyjskiej dawno już się oswoiły. Wszakże cały system

polityki rusyfikacyjnej czy to w Królestwie Polskiem, czy na Litwie, Wołyniu, czy na Podolu i Ukrainie dąży do wytworzenia olbrzymich rzesz proletaryatu polskiego, za pomocą usuwania Polaków z wszelkich placówek pracy zarobkowej, z instytucyj administracyjnych, sądowych, kredytowych, komunikacyjnych i t. d. Wobec tego, garstka, wyzuta z mienia w prowincyach zachodnich i wciągnięta przez p. Olszamowskiego do szeregów proletaryatu, gotowego na usługi socyalizmu, jest zabawną i naiwną pogróżką dla rządu.

Poważniejszy charakter mają dowodzenia autora, wykazujące szkody ekonomiczne, wynikłe ze stosowania praw wyjątkowych.

P. Olszamowski jest mocno przekonany, że już przyszedł czas równouprawnienia, że w imię zasad humanitarnych, w imię sprawiedliwości i postępu cywilizacyjnego prawa wyjątkowe powinny być już zaliczone do historyi, że obecnie przy nowej rewizyi prawodawczej Polacy w prowincyach zachodnich, jako już nieszkodliwi, jako osłabieni długoletnim uciskiem, powinni otrzymać przywileje obywateli państwa rosyjskiego.

Złudzenia! Co do ogółu Polaków zainteresowanych, większość już dawno otrząsnęła się z wszelkich marzeń, a jeżeli jest pewien procent takich, którzy wierzą w wspaniałomyślność rządu rosyjskiego i jego prawodawców, to niech się postarają zapoznać ze świeżymi faktami, niech sobie uprzytomnią, że nawet ziemstwa, tę instytucyę pseudo-autonomiczną, sparodyowaną i sprowadzoną do zera już w rdzennej Rosyi — i tę dla Litwy, Wołynia i Podola postanowiono zastosować tylko na „prawach wyjątkowych“, a nie ogólnorosyjskich.

W ziemstwach system biurokratyczny wykoszlawił i zabił w zarodku organizacyę liberalną i stworzył świetne placówki dla urzędników-łapowników. Przedstawicielstwo stanów i prawo głosu mas stało się tylko komedyą, gdyż wszelkie żądania i postanowienia ludności przeprowadzone przez ziemstwa, może odrzucić i zniweczyć gubernator jednem pociągnięciem pióra.

Takie ziemstwa są obecnie w rdzennej Rosyi. A jakież będą w prowincyach zachodnich?! Mają je stworzyć według praw wyjątkowych, to jest usunąć zupełnie żywioł polski. Będzie to więc nowa forma wzmocnienia rusyfikacyi i dozoru policyjnego. Polacy zaś odczują to w ten sposób, że pomimo pozbawienia prawa udziału i głosu w „ziemstwach“, będą ponosili na nie nowe ciężary podatkowe. Taka jest rzeczywista dążność rządu do równouprawnienia mieszkańców prowincyj zachodnich w chwili obecnej i taka będzie i na przyszłość. Szkody ekonomiczne nie zastraszą rządu wcale. Prze-

cież przed kilku laty jakieś polakożercze pismo rosyjskie cynicznie powiedziało, że dla celów politycznych warto zniszczyć materyalnie miliony ludności. Dotychczas zaś prawodawstwo rosyjskie w ziemiach dawnej Polski ma na względzie wyłącznie cele polityczne.

Warszawa w lipcu 1899.

HANNIBAL.

NĘDZA ROSYI W CYFRACH.

(Dokończenie).

Znaną jest nędza Galicyi, cóż powiedzieć o Rosyi, skoro faktem jest, że produktów rolnych w Rosyi wypada mniej na głowę niż w Galicyi.

Produkcya zboża [1]) w Galicyi, podług Rutowskiego, wynosi 102,170.304 złr., czyli 20·43 złr. na jednego rolnika. W Rosyi produkcya zboża tych samych gatunków, podług optymistycznych obliczeń dyrektora departamentu handlu Kowalewskiego, wynosi 11·76 rs. czyli 15 złr. na jednego rolnika [2]).

W Rosyi upadkowi rolnictwa towarzyszy zmniejszenie się hodowli bydła. Na 100 mieszkańców przypadało w Rosyi *bydła rogatego* sztuk

w 1857 r. . .	37·1
w 1870 . .	31·0
w 1883 . .	30·1
w 1888 . .	29·7

(W. J. Kowalewsky. Die Productivkräfte Russlands. str. 65).

Na 100 mieszkańców przypadało w Rosyi bydła *nierogatego* sztuk

1857 . .	15·3
1870 . .	13·9
1883 . .	12·0
1888 . .	11·1 (Ibidem str. 80)

---

[1]) Pszenica, żyto, owies, jęczmień, gryka, proso, kukurudza.

[2]) W Galicyi gospodarka rolna jest intensywniejsza niż w Rosyi:

Jeden hektar wydaje hektolitrów

żyta	w Rosyi	9·61	w Galicyi	10·23
pszenicy	„	8·58	„	11·51
owsa	„	14·60	„	15·12
prosa	„	6·72	„	10·81
kartofli (na czarnoziem.)		63· 4	„	100·03
(na nieczarnoz.)		82·61	„	

Obliczając bydło w równoważniku bydła rogatego (podług ogólnie przyjętej metody: 4 sztuki świń = 4 owcom = 1 sztuce bydła rogatego) dojdziemy do rezultatu, że w Rosyi (podług oficyalnego wydawnictwa Kowalewskiego) wypada na 100 ludności rolnej 33·8 sztuk. (W Kongresówce przypada według Szczepanowskiego 58·7 sztuk, w Galicyi 55·1 sztuk.)

Chłop rosyjski z musu jest wegetaryaninem; jest on nawet więcej niż wegeteryaninem, bo głodomorem. Przeciętna konsumcya chleba na głowę w Rosyi nie wynosi tyle, co połowa porcyi żołnierza rosyjskiego, otrzymującego dziennie 3 funty chleba [1]).

Zmniejszenie się konsumcyi i chroniczne głodzenie się musiało przedewszystkiem odbić na organizmie ludności, i w rzeczy samej widzimy potwierdzenie tego faktu w danych komisyi poborowej do wojska.

„Nie tak dawno (patrz Diediulin. Russkij Trud 1898) co do liczby niezdolnych do służby wojskowej, Rosya zajmowała ostatnie miejsce wśród państw Europy, a teraz już stoi na trzeciem miejscu, wyżej od Francyi, a nawet od Włoch". W 1887 r. było w Rosyi niezdolnych do służby wojskowej 117.189, a w r. 1896 258.140. W ciągu 7 lat procent wątpliwych co do uzdolnienia do służby wojskowej i z tego powodu mających prolongatę wzrósł z 37·31 do 46·49%, a procent zupełnie niezdolnych w stosunku do przyjętych do wojska wzrósł z 64·52 do 78·92%. Zważywszy stały wzrost procentu niezdolnych do wojska, Diediulin przychodzi do wniosku, że *ludność Rosyi z powodu złego odżywiania wyradza się;* wniosek ten potwierdza ta okoliczność, że z ogólnej liczby chorych, uwalnianych z wojska po przyjęciu, z powodu niezdolności do służby, 15·8% wypada na t. zw. „zołotuszne chudosoczije"! [2])

Organizm osłabiony złem odżywianiem musi być mniej odporny na wszelkie choroby i stąd w Rosyi musi być znaczny procent śmiertelności.

Podług obliczeń prof. Tarchanowa w Rosyi w okresie 20-letnim 1779—1799 procent śmiertelności nie przewyższał 20 ludzi na tysiąc, w latach zaś 1865—85 doszedł do 35·6%.

Nigdzie na świecie, nawet w Indyach, gdzie wiecznie panuje dżuma, niema takiej śmiertelności jak w Rosyi.

Oto tablica śmiertelności na 1000 ludzi w roku 1897, (podług Hübnera Geograph. statist. Tabellen wydania 1898 i 1897 r.)

---

[1]) Podanie Cesarskiego Towarzystwa Wolno-ekonomicznego. Rozdział p. n. „Zbiednienie wszystkich klas ludności" str. 119 i nast.

[2]) Skrofuły i niedostateczne odżywienie.

	(Podług tabl. wyd. 1898 r.)	(Podług tabl. wyd 1897 r.)
Rosya	33·1	38·3 (rok 1892)
Hiszpania	30 6	30·6 („ 94)
Rumunia	30·2	28·9 („ 95)
Węgry	28 8	29·5 („ 90)
Serbia	27·4	27·2 („ 95)
Austrya	26·3	27·5 („ 90)
Grecya	24·9	24·9 („ 90)
Stany Zjednoczone . .	22·3	22·3 („ 74)
Niemcy	20·8	22·2 („ 95)
Francya	20·0	22·3 („ 91)
Szwajcarya	18·5	19·7 („ 89)
Finlandya	17·7	19·1 („ 94)
Niderlandy . . . . ,	17·2	18·6 („ 95)
Belgia	17·5	19.5 („ 95)
W. Brytania i Irlandya .	17·0	18·6 („ 91)
Dania	15·7	16·9 („ 90)

Obliczmy teraz, ile ludzi umiera w Rosyi corocznie z głodu, jeżeli dla Galicyi przyjmiemy cyfrę Szczepanowskiego 55 tysięcy.

Dla porównania śmiertelności Rosyi i Galicyi podajemy tablice złożone z 2 szeregów, (dla Rosyi bierzemy cyfry z 5 roczników Hübnera, dla Galicyi posługujemy się statystyką Rutowskiego).

	Umierało na 1000 ludzi	
Lata	w Rosyi	w Galicyi
1888 r	32·2	31·40
1889 „	33·4	29·46
1890 „	34·2	31·58
1891 „	33·3	31·40
1892 „	38·3	31·26
Przeciętnie 1888—92	34	30·87

W Rosyi na każdych 100 ludzi umiera 3 osoby więcej niż w Galicyi; ta nadwyżka śmiertelności w Rosyi na 100 milionów rosyjskiej ludności wyniesie 300.000 zmarłych. Gdyby w Rosyi była taka śmiertelność jak w Galicyi, to w Rosyi umierało by „z głodu“ minimum 15 razy 55 tysięcy, gdyż tyle razy ludność Rosyi jest liczniejsza; wyprowadzamy stąd wniosek: że jeżeli zgodnem jest z prawdą, że w Galicyi z powodu nędzy galicyjskiej mamy rocznie 55 tysięcy *zbytecznych* zgonów, to w Rosyi jest takich zgonów *dużo więcej niż milion.*[1])

---

[1]) Sazonow w „Nowem Wremieni“ w swoich „Wspomnieniach z 91 roku“

W tablicach Hübnera podana jest śmiertelność całej Rosyi. Jeżeli zaś z ogólnego rachunku wyłączymy gubernie nadbałtyckie (19—25 na tysiąc), Królestwo Polskie (23) i sześć litewsko-białoruskich, otrzymamy śmiertelność znacznie większą. Tak np. w wielu guberniach śmiertelność waha się między 40 a 54 na tysiąc. (Orenburska 52, Moskiewska 53·40). Jeżeli zaś weźmiemy niektóre miejscowości oddzielnie, to otrzymamy procent wprost przerażający, bo np. w niektórych powiatach gub. Wiatskiej, Smoleńskiej i Ołonieckiej dochodzi śmiertelność do 60—70 na tysiąc. Według świadectwa dra Osipowicza, w niektórych miejscowościach powiatu Moskiewskiego umiera do 73 ludzi na 1000.

Straszna śmiertelność, zwyrodnienie fizyczne ludności, zmniejszenie się konsumcyi przedmiotów najpotrzebniejszych, wszystkie te fakty składają się na ponury obraz nędzy rosyjskiej.

Doszło już do tego, że minister finansów w raporcie składanym carowi odważył się, wbrew zwyczajowi czynowników carskich i ich formułce: „wsio obstoit błagopołuczno“ przyznać, że nie wszystko jest w porządku, że upadek ekonomiczny chłopstwa jest faktem.

Przypomnijmy, że w Rosyi 72·5% ziemi uprawnej należy do chłopów, i że z pozostałej reszty (27·5%) ziemi należącej do większej własności, ogromny procent jest w dzierżawie chłopskiej. Ludność wiejska w Rosyi stanowi 87·5%[1]) ludności.

Na 129 milionów ludności Rosyi, wraz z Królestwem[2]) (gdzie przemysł jest więcej rozwinięty) jest co najwyżej 2 miliony robotników.

Wartość produktów przemysłowych w Rosyi na jednego mieszkańca wynosi mniej nawet niż w Hiszpanii, jak widzimy to z następującej tablicy.

Państwa	Wartość produktów przemysłowych na głowę ludności.
Anglia	103·5 dolarów
St. Zjednocz. Półn. Am.	96.8 „
Belgia	80·0 „
Szwajcarya	80·0 „
Francya	58·3 „
Niemcy	57·6 „
Austro-Węgry . . .	37·5 „

---

obliczył, że w roku 89/90 umarło w Rosyi 2.890.000, w roku 90/91 — 3.327.000 tj. w r. nieurodzaju 1891 umarło o *1 milion więcej, niż zwykle umiera.*

[1]) Większy procent niż w Galicyi.

[2]) W Rosyi ludność miejska stanowi 12·5%, w Królestwie zaś —22%.

Państwa	Wartość produktów przemysłowych na głowę ludności
Włochy	19·3 „
Hiszpania	19·0 „
Rosya	14·0 „

Na 1000 ludności przypada koni parowych

w Anglii	303
w Niemczech . . .	248·9
w Belgii	156·2
w Francyi	129·8
w Austro-Węgrzech	27·7
w Rosyi	19·4

Tablice przytoczone dowodzą, że przemysł rosyjski jest dopiero w zarodku.

Przypuśćmy, że przemysł rosyjski będzie wzrastał z bajeczną[1]) szybkością, nigdzie niebywałą, to nawet przy najszybszym wzroście *tylko nieznaczna część przeszło stomilionowej ludności znajdzie zarobek w przemyśle.*

Wzrost produkcyi *węgla kamiennego* w Rosyi w porównaniu z innemi państwami, nie dowodzi wcale bajecznie szybkiego rozwoju przemysłu.

Produkcya węgla kamiennego w milionach pudów wynosiła:

1892 r.	Anglia 11.275	Stany Zjednoczone 8.864	Niemcy 4.350
1893 r.	10.192	8.917	4 512
1894 r.	11.678	9.467	4.685
1895 r.	11.763	10.656	4.832
1896 r.	12.117	10.705	5.228

1892 r.	Francya 1.568	Belgia 1.295	Rosya 422
1893 r.	1.536	1.285	460
1894 r.	1.646	1.253	526
1895 r.	1.607	1.248	550
1896 r.	1.762	1.297	564

Tylko dzięki nadmiernym cłom ochronnym garść fabrykantów, mając faktyczny monopol, produkuje drogo i źle, i nakładając nadmierne ceny, *wyczerpuje siły płatnicze ludności.*

„Petersburskie Towarzystwo Wolno-ekonomiczne“ w swoim podaniu do ministeryum o zniżenie ceł przytacza (str. 116—117) tablicę cen wytworów fabrycznych w Rosyi w porównaniu z innymi

---

[1]) Bajecznej szybkości wzrostu przemysłu w Rosyi jeszcze nie widzimy, (a nędza mas uzasadnia przypuszczenie, że cieplarniany przemysł rosyjski niema trwałej podstawy).

krajami. Z tej tablicy okazuje się, że rosyjski konsument za *narzędzia rolnicze* płaci drożej od

Finlandczyka	o 198%
Niemca	o 159 „
mieszkańca Austryi	o 119 „

Za materye bawełniane w Rosyi konsument płaci

drożej niż w Finlandyi	o 105%
„ „ w Niemczech	o 357 „
„ „ w Austryi	o 445 „

W temże „Podaniu“ obliczono, że dywidenda, jaką otrzymują rosyjscy fabrykanci, z powodu ceł ochronnych, równa się opodatkowaniu na rzecz fabrykantów całej ludności państwa po 5 rs. 77½ kop. na głowę.

Oprócz tej sumy ludność rolnicza Rosyi, podług obliczeń owego „Podania“ (str. 117) opłaca cło za zbyt swego zboża 18 kop. od puda [1])

Hodowanie przemysłu Rosyi kosztuje więc z tysiąc milionów rocznie, jeżeli nie więcej.

W Anglii *dzięki ulepszonej technice* [2]) cena surowca żelaza *spadła* w ciągu ostatnich lat 15 z 40 do 28 kop. za pud; *w Rosyi* w ciągu ostatnich 25 lat *podniosła się* z 59 do 86 kop.

W Anglii cena puda surowca wynosi	28 kop.
żelaza sztabowego	76 „
szyn stalowych	55 „

W Rosyi odnośne ceny wynoszą 86, 180 i 155 kop.

Ludność włościańska w samej tylko Wiatskiej gub. (liczącej 3 miliony mieszkańców) przepłaca z powodu ceł ochronnych żelazo o 9 milionów rubli. [3])

---

[1]) Cło od zboża rosyjskiego jest w znacznym stopniu odpowiedzią na cła ochronne rosyjskie od zagranicznych produktów przemysłowych.

[2]) Nadmierny protekcyonizm *tamuje postęp techniczny*. Szczególniej zaś zacofana jest technika w rosyjskim przemyśle górniczym i żelaznym. Skutkiem nadmiernej protekcyi rządowej, jak stwierdza p. Wiśnowskij w „Pieterb. Wiedomostiach“ N. 111 r. 1899, rutyna i zastój panują w technice przemysłu górniczego na Uralu. „Technika tam nic prawie nie postąpiła od czasów Piotra Wielkiego“.

Ze wszystkich czterech sposobów otrzymania żelaza (kryczny sposób, pudlingowski, bessemerowski i martenowski) *na całym świecie* jest używany bessemerowski i martenowski, tylko w Rosyi na Uralu są w powszechnem użyciu sposoby kryczny i pudlingowski, *najbardziej zacofane*. W r. 1890 krycznych pieców było na Uralu 377, czyli 84% całej liczby.

[3]) Podług badań statystycznych Wiatskiego ziemstwa, przedsięwziętych z inicyatywy Batujewa.

Nadmierny rosyjski protekcyonizm przemysłowy przyczynia się w znacznej mierze do upadku chłopa rosyjskiego, który zmuszony jest wszystko kilkakrotnie przepłacać. Wysokie ceny wytworów rosyjskiego przemysłu są przyczyną, że *przemysł rosyjski* nie może konkurować po za granicami Rosyi, a *musi ograniczyć się tylko do rynku wewnętrznego.*

Rynek wewnętrzny rosyjski z powodu wzrastającej nędzy chłopskiej będzie musiał zwężać się, co ostatecznie i przemysł rosyjski doprowadzi do bankructwa. Upadek przemysłu rosyjskiego będzie maskowała do pewnego stopnia ta okoliczność, że w Rosyi, dzięki przyrostowi naturalnemu, przybywa rocznie około miliona nowej ludności, która musi w coś się ubrać i coś konsumować.

Dla zdrowego przemysłu w Rosyi potrzeba byłoby przedewszystkiem podniesienia dobrobytu mas. Rosyjski minister finansów Witte, dzięki gadzinowym funduszom uważany jest za męża stanu prowadzącego „mądrą politykę ekonomiczną“ a tymczasem widać, że nie rozumie jednej z pierwszych prawd ekonomicznych; *„zdrowy rozwój przemysłu może iść tylko w parze z rozwojem rolnictwa*, gdyż rolny producent jest zarazem głównym spożywcą produktów przemysłowych“ [1]).

Nie sądzę, żeby wszyscy mężowie stanu rosyjscy byli tak ograniczeni, żeby nie widzieli, że polityka ekonomiczna rosyjska prowadzi Rosyę do bankructwa.

Nie zapominajmy jednak o tem, że rządcy absolutni zwykle myślą: *après nous le déluge.* Rząd rosyjski dba przedewszystkiem o to, by Rosya była potęgą militarną. Technika militarna, fabrykacya narzędzi mordu i siła floty zależą od przemysłu w danym kraju; każde mocarstwo militarne powinno dbać przedewszystkiem o stworzenie u siebie przemysłu żelaznego i o produkcyę węgla.

Rosya nie zmieni więc swej polityki ekonomicznej. Cóż, że *Rosya właściwa* została wyniszczoną gorzej, niż przez Mongołów? Pozostają jeszcze niezniszczone, a względnie bogate i o wyższej kulturze „okrainy“ (Polska, Litwa, Ruś i Inflanty) i oprócz nich jeszcze południowe gubernie z Krymem, Kaukaz niezupełnie zniszczony, i Syberya.

---

[1]) Upadek rolnictwa przyczynia się do upadku przemysłu przetwórczego. Upadek hodowli bydła przyczynił się do upadku rosyjskiego garbarstwa.

W r. 1880 wartość ogólna wyrobu skór była 42 milionów rs.
„ 1890 „ „ „ „ „ 35 „ „
„ 1892 „ „ „ „ „ 32 „ „
(M. Kowalewsky. Le régime économique de la Russie. Str. 194).

Znany jest fakt wysysania „kresów“ przez państwo. Polska szczególniej jest wyzyskiwaną pod względem podatkowym. W miarę upadku ekonomicznego właściwej Rosyi i prowincyi sąsiednich, wyzysk „kresów“, zmuszonych karmić głodnych Moskali, będzie się zwiększał i może przyczynić się do prędkiego upadku ekonomicznego także i „kresów“.

Co nas może obronić od tego wyzysku?

— Tylko oderwanie się od Rosyi.

DR. LEON WINIARSKI
docent Uniw. Gen.

SZKICE PSYCHOLOGICZNE.

III.

Geniusz tworzy nowe formy życia i dlatego tępi stare; musi stanąć do walki z tłumem, który ma do wyboru albo go sprzątnąć, albo zginąć samemu. Ta walka, w miarę jak się tłum uspołecznia i organizuje, staje się dla geniusza coraz trudniejszą. Im silniej zadzierżgnięte są węzły organizacyi społecznej — moralności, państwa, prawa, kultury — tem trudniej jest przebić się przez nie jednostce. To też geniusze przejawiają się zwykle w epokach rozluźnienia węzłów społecznych. Można to powiedzieć zwłaszcza o literaturze, sztuce i filozofii, które są najmniej jeszcze zróżniczkowane, gdzie jednostka występuje z całą swą istotą duchową, wyrażając swą myśl, uczucie, fantazyą, temperament i wolę. Najpotężniejsze poloty w tych dziedzinach, wyrażające istotę wewnętrzną jednostki najgłębiej, jej żywiołowe dążenia do rozdarcia zasłon bytu, do rozszerzenia jego horyzontów uskutecznione były właśnie w epokach przewrotowych, gdy podstawy społeczne były wstrząśnione. Gdy zastanawiamy się nad rozwojem literatury i sztuki, uderza nas jeden rys ogólny: wszystkie wielkie epoki ich rozkwitu były okresami nędzy moralnej i materyalnej, gdy stare formy społeczne się kruszyły, a nowe na ich miejscu jeszcze nie powstały.

Z punktu widzenia naszej teoryi jest to rzecz łatwa do wytłumaczenia. Literatura i sztuka rozwija się pod wpływem jednostek niezróżniczkowanych; społeczeństwo natomiast jest tem doskonalsze, im jednostki składające są bardziej uspecyalizowane.

Przytępiający wpływ rozwoju form społecznych na jednostkę

daleko jaskrawiej jeszcze niż u mężczyzny, występuje u kobiety. Wszystkie świadectwa twierdzą, iż na początkach kultury, a nawet cywilizacyi historycznej, nie różniła się ona tyle od mężczyzn, co dziś, ani pod względem energii, ani oryginalności i talentu. Etnologia coraz większą rolę zaczyna przypisywać kobiecie w historyi pierwotnych wynalazków: garncarstwa, kultury roślin, organizacyi wewnętrznej domu. Trzeba było dopiero długoletniego doboru społecznego, który tępił najlepsze śród kobiet jednostki, aby stworzyć ten rozpaczliwy stan bierności, braku oryginalności i talentów, jaki obecnie widzimy. Śród nich odbywał się nie dobór naturalny jednostek lepszych i oryginalniejszych, lecz dobór społeczny posłusznych i biernych. Uginają się też pod ciężarem więzów społecznych, są przytłoczone przez nie: w ten sposób mężczyzna wytworzył obecną rasę kobiet małogłowych. Niechaj jednak te więzy trochę się rozluźnią, a wnet na widownię występuje szereg działaczek, które przy spokojnych warunkach napewnoby zginęły, jako ofiary ognisk domowych. Dlatego też w tych samych epokach rozluźnienia społecznego, gdy mężczyzna występuje jako jednostka i one także naprzód się wysuwają. Obok Periklesa, Alkibiadesa, artystów, filozofów, poetów znajdujemy Aspazyę i hetery. Toż samo powiedzieć można i o wieku Odrodzenia. Mamy tam cały szereg kobiet pełnych energii, stanowczości, oryginalności i talentu. Takiemi je przedstawia kronikarz Burkhardt. Wszak śród nich Leonardo znajdował to natężenie życia psychicznego, które podziwiamy w jego portretach niewieścich. Do tej epoki należą kobiety, jak Katarzyna i Hipolita Sforza, Izabella Gonzaga, Cecylia Gelleroni, Bianca Capello, Vittoria Colonna i inne. Brak więzów społecznych, których ucisk naszkicowaliśmy powyżej, pozwolił człowiekowi pierwotnemu poczynić te wielkie odkrycia i wynalazki, które my odebraliśmy po nim w spadku; język, ogień, dźwignię, koło, wóz, uprawę roślin, hodowlę bydła, garncarstwo, tkactwo i t. d. Cywilizacya historyczna naśladowała tylko myśli genialne, zawarte w tych wielkich wynalazkach i rozwijała je w dalszym ciągu. Czem jest cała literatura sztuczna w porównaniu z wytworzeniem języka? Fraszką! Wszystkie te zdobycze były przedmiotem nie trafu, lecz genialnej intuicyi. Tam geniusz nie był związany przez nacisk form społecznych. Wprawdzie było to państwo obyczaju; ucisk obyczaju chcą zaś nieraz przedstawić jako bardziej przygnębiający, niż więzy społeczne, historyczne. Na to można jednak odpowiedzieć, 1) że źródłem zwyczaju był zwykły wódz, jednem słowem jednostka najzdolniejsza; 2) że pierwszem słowem zwyczaju było posłuszeństwo dla wodza,

dla ojca, które oddano nawet pod opiekę religii, bóstwa; 3) że grupy społeczne były nader drobne i zwyczaj zmieniał się w każdej grupie. Dzięki tym warunkom wszędzie, gdzie się znalazła jednostka zdolniejsza, jednostka genialna mogły się wytwarzać nowe zwyczaje, nowe formy bytu, które były wyrazem osobowości tej właśnie jednostki. Oto dlaczego społeczeństwo pierwotne miało w każdej drobnej nawet grupie odrębny język, poezyę, religię, moralność, technikę, filozofię i t. d., gdy obecnie jedna ogólna hypnoza ogarnia coraz bardziej cały glob ziemski.

IV.

Człowiek jest poprzednikiem społeczeństwa. I dotychczas jest w nie tylko pogrążony i należy doń tylko swą powierzchnią. Jego środek, istota wewnętrzna pozostaje niezależna, samobytna. Ale atmosfera społeczna i tam powoli przenika, wżera się i prowadzi swój proces różniczkowania, który dąży wciąż do zatraty osobowości. Zauważono np. że każdy pisarz z biegiem czasu staje się oklepany i bezpłodny. Następuje to wówczas, gdy jądro duchowe rozłożone zostaje na istniejące pojęcia społeczne. Przejmuje pewną sumę — nieraz bardzo znaczną — pojęć moralnych, społecznych, trochę wiadomości specyalnych, i tego wystarcza, by z jego dobytku wewnętrznego nic nie zostało. Po pewnym czasie staje się kwiatem zwiędłym. Nic niespodzianego już trysnąć zeń nie może.

Człowiek istniał niegdyś setki tysięcy lat niezależnie od społeczeństwa, w każdym razie w społeczeństwie daleko luźniejszem niż obecnie, a może nawet żył całkiem samotnie. Nad nami wszystko to ciąży. Czemu przypuszczać, iż jesteśmy wytworami tylko społeczeństwa ludzkiego i tak zwanej historyi? Czyż w nas nie mogą potężnie rozlegać się jeszcze echa z tamtych, odległych wieków? W pierwszych już śladach, które przejście człowieka na ziemi zostawiło, znajdujemy go już jako istotę nader złożoną, której w badaniu zaniedbywać nie wolno. Ale w jakiej formie te wpływy pierwotne w nas przejawiać się mogą? Naprzód w formie typów emocyalnych: już tam, w pra-historyi, a może jeszcze w świecie biologicznym wyodrębniły się typy temperamentów, tak powierzchownie poklasyfikowane pod nazwami melancholików, sangwinistów, choleryków etc., typy rasowe, a może i nacyonalne.

Jednostka może dotychczas często być przedstawicielem jakiegoś instyktu lub emocyi, lub ich splotu, które wytworzyły się w przedhistoryi i dotychczas wyrazu w życiu społecznem nie znala-

zły. Skąd my wiemy, iż takie larwy nie czyhają tam, w zakątkach jakichś mózgów wyjątkowych i że chcąc wystąpić na jaw, te zjawiska nieświadome nie przybierają formy nowych pomysłów w walce z otoczeniem. W daleko większym jeszcze stopniu można toż samo powiedzieć o powstaniu typu biologicznego nowego, wyższego, niż człowiek, który wystąpić może dzięki zupełnie przypadkowym warunkom krzyżowania i który nazywać będziemy geniuszem. Dajmy na to, że on nie przynosi ze sobą żadnych nowych, gotowych myśli, ale będąc nowym materyałem mózgowym, musi w swym przejawie, w swej walce ze światem, dla umieszczenia się w systemie społeczeństwa, lub zniszczenia go dać początek pomysłom i wynalazkom nowym. W walce z dawną teoryą idei wrodzonych, krytyka współczesna doszła do wniosku, iż geniusz idei nowych tworzyć nie może, że musi wrzekomo brać je ze środowiska swego i ma tylko możność kombinowania ich w sposób nowy. Rozumowanie to wcale nas nie przekonywa. Nie jesteśmy zwolennikami idei wrodzonych, ale też ta teorya wcale nam potrzebną nie jest: dość przypuścić, iż można przynieść ze sobą na świat nowe instynkty, by one dały początek nowym ideom, które nie będą tylko kombinacyą dawniej istniejących. Wszak wszyscy przyznają, iż zakres, ilość i jakość myśli, które dany gatunek wytworzyć może, ściśle ograniczone są rozmiarami i budową mózgu. Otóż jeżeli ludzkość jest w stanie wydać gatunek wyższy, myśli jego będą nowe i inne.

Co to jest myśl? Pewna reakcya między sumą stanów nieświadomych, zawarunkowanych przez dany mózg i warunkami otoczenia. Co to jest myślenie logiczne? Jestto stosunek identyczny, lub analogiczny takich stanów wewnętrznych i zewnętrznych, identycznych lub analogicznych.

Jeżeli postawimy dwa gatunki zbliżone biologicznie w warunki życiowe rozmaite, to ich myślenie będzie rozmaite, również jak i wynalazki, które czynić będą. Myślenie pająka różni się od myślenia mrówki. Lew lub tygrys, żyjący w samotności różnią się swą logiką od krowy i owcy, żyjących stadem. Weźmy kilka przykładów z społeczeństwa ludzkiego: mieszczanin francuski, żyjący życiem egoistycznem nigdy nie będzie w stanie zrozumieć chłopa rosyjskiego, który żyje w gminie. Człowiek cywilizowany nie rozumie dzikiego, dość wspomnieć wszystkie dziwoląg, które misyonarze wymyślili z powodu „rozpusty“ lub „niemoralności“ dzikich i t. d. Nareszcie wszak poganin, jak Goethe, nigdy nie był w stanie zrozumieć chrześciaństwa? A więc mózgi mniej więcej jednakowe, po-

stawione w warunki różne, myślą różnie do tego stopnia, iż nawet zrozumieć się wzajemnie nie mogą.

Z drugiej strony weźmy dwa różne typy biologiczne, postawmy je w jednakowe warunki zewnętrzne, ich myślenie będzie znowu rozmaite. Ptak, pies i człowiek dziki — wychowani wszyscy trzej w jednakowych mniej więcej warunkach, na łonie natury, spoglądając na ten sam przedmiot, widzieć w nim będą strony rozmaite.

Główna wada t. zw. teoryi dyalektyki społecznej zawiera się w tem, że ona przyjmuje wszystkie objawy społeczne, jako wyrazy jednakowego procesu myślenia logicznego i to myślenie, ma za wieczne, niezmienne, obejmujące wszystkie społeczeństwa. Teorya ta stanowi podstawę poglądów socyologicznych Tarde'a, który rozpatruje rozwój społeczny, jako przędzę nieskończoną tez, antytez i syntez logicznych. Otóż widzieliśmy powyżej iż logik, czyli dyalektyk jest tyleż, co i typów społecznych, które swoją drogą zależą od typu biologicznego członków danego społeczeństwa i od warunków otoczenia. Nie tylko więc nie można objaśniać rozwoju społecznego logiką, dyalektyką, lecz odwrotnie trzeba raczej samą logikę wyprowadzić z tego rozwoju.

Tylko Hegel, dla którego myślenie było procesem wiecznym, zawsze jednakowym, istotą rzeczy, mógł w dyalektyce upatrywać objaśnienie wszystkich zjawisk, między innemi więc i społecznych. Innem wszakże jest stanowisko wiedzy współczesnej, która uważa proces myślenia za nader względny i zmienny. Właściwie mówiąc, istnieje nie jedna jakaś ogólna dyalektyka, lecz wiele dyalektyk bardzo licznych i rozmaitych.

Nie tylko filozofia, ale i nauka pozytywna przyjęła od czasów Kanta zasadę, iż świat jest wytworem naszych zmysłów, naszego mózgu na gruncie bytu niepoznawalnego, który dla nas jest realnym. W tym sensie pojęcie świata się wciąż rozszerza wraz z postępem biologicznym. Począwszy od najniższej monery i kończąc na człowieku pojęcie to wciąż się rozwijało i pogłębiało. Było z początku nie większe, niż obręb wrażliwości monery, potem każda nowa „jednostka" — pierwszy przedstawiciel nowego gatunku — rozdzierała zasłony, które poprzednio ograniczały świat i rozszerzała jego horyzonty. Zdobycz w ten sposób pozyskana rozszerza się następnie na gatunek cały, nowowytworzony, który wraz z mózgiem odziedzicza po pierwszym swym przodku i nowe, rozszerzone widnokręgi. W rodzaju ludzkim jednostkami temi są geniusze. Niestety, wyższego typu biologicznego, któryby odziedziczył po nich

ich zdolności i mózg wytworzyć nie mogą, gdyż w walce swej są pobici, pochłonięci przez dobrze zsolidaryzowane społeczeństwo. Ich pomysły wszakże rozchodzą się po niem w sposób hypnotyczny, tworzą prądy, które je organizują. Natura dąży w ten sposób procesem swej tajemniczej twórczości, aby skupić w centrach coraz wyższego porządku rozrzucone promienie życia, i wydaje ogniska coraz żywsze, ale chce by tylko kwiaty błyszczały, by tylko korona, rezultat duchowego rozwoju, był świadomy i rzucał łuny wspaniałe na świat. Procesy przygotowawcze, analizy i syntezy pozostają w ukryciu. Natura ma swą wstydliwość. Intuicya przeważa w duchu geniuszów.

Społeczeństwo swym rozwojem powstrzymuje coraz bardziej wytworzenie ogniska wyższego, doskonalszego, niż człowiek; ono rozszerza natomiast na wszystkich swych członków coraz bardziej zdobycze geniuszu i stawia ich zarazem w warunki tak bolesne, tak utrudniające wolną grę instynktów, iż procesy duchowe ukryte coraz bardziej występują na jaw. Oto skąd pochodzi wzrost „świadomości“, która odbijając sobą rozwój społeczny, przybiera zarazem formy logiczne. Inteligencya coraz bardziej wzrasta, intuitywność zanika. Myśl coraz bardziej przybiera charakter wspaniałej choroby. Z świadomością coraz żywszą, coraz gorętszą, czynimy wrażenie, jakbyśmy mieli czaszki odarte ze skóry. By wyjaśnić różnicę pomiędzy myśleniem intuitywnem a logicznem, weźmy przykład. W „Hamlecie“ napotykamy często wiersz tak pełen treści różnorodnej, iż dla wszechstronnego wytłomaczenia go, można napisać tom cały komentarzy, a i wówczas jeszcze nie jesteśmy pewni, czyśmy go całkowicie zgłębili. To co krytyka tak pisze, myśląc drogą świadomej analizy i syntezy logicznej, Szekspir skupiał w jednym frazesie, drogą odruchowej, nieświadomej w swych procesach przygotowawczych działalności mózgu.

Nasze pojęcie obecne świata jest wytworem pewnej sumy jednostek, po części znanych, po części nieznanych i ich pomysłów: one dały początek prądom hypnotycznym, według których tłum się organizuje w społeczeństwo. Nowe jednostki stanowią w niem czynnik twórczy, dynamiczny; tłum natomiast jest czynnikiem biernym, konserwatywnym. On przechowuje rezultaty pomysłów i wynalazków geniusza.

Promienie tak przechowane przechodzą do nowego opracowania, do nowych ognisk mózgów genialnych i stąd rozchodzą się prądami z b o g a c o n y m i, albo też zupełnie nowymi po tłumie. Wszystkie te prądy wychodzące z różnych centrów uderzają o sie-

bie wzajemnie, falują, ale dążą z czasem do wyrównania. Zanim to jednak nastąpi, morze społeczne jest rozkołysane. W ten sposób wytwarza się sieć pomysłów o oczach coraz gęstszych; nowym pomysłom coraz trudniej jest wśród nich się usadowić, wynaleźć wolne miejsce, przystosować do warunków istniejących. Jeżeli więc tłum nic nowego nie tworzy, to jego wpływ na twórczość jest jednak niewątpliwy. Ale jak morze, chociażby najbardziej rozkołysane dąży z czasem do równowagi, by dać, jeżeli nowych powiewów wichru nie ma, poziom ogólny, prawie nieruchomy, tak samo tłum, jeżeli jedyne siły, które poruszyć go mogą — geniusze wymierają, dąży do równowagi i nieruchomości. Tak mrowiska lub ule od czasu, jak starożytni je opisali, nie zmieniły się ani trochę, a w tym okresie ileż przemian odbyło się w społeczeństwie ludzkiem! Ale i społeczeństwa ludzkie, jeżeli nowi geniusze się nie pojawią, są skazane na nieruchomość, na powtarzanie bez końca dawnych myśli i wynalazków[1]). Za każdym prądem społecznym odkryć można jako początek, jako inicyatora, jednostkę. Widzieliśmy, że jeżeli geniusz jest splotem nowych instynktów i emocyi nieświadomych, będą one potem źródłem p o m y s ł ó w i w y n a l a z k ó w n o w y c h, które nie będą już tylko kombinacyą tego co poprzednio wypowiedzianem było.

„Krytyka naukowa“ silnie się przyczyniła do zaćmienia tej prawdy, odszukując wciąż promienie rozrzucone po społeczeństwie, z których ma się składać geniusz i sprowadzając go w ten sposób tylko na stopień wyraziciela prądów istniejących w społeczeństwie. Były to wszakże uogólnienia sztuczne i powierzchowne. Koło Szekspira np. zauważono gromadkę pisarzy, pokrewnego z nim nastroju. Ogłoszono go więc tylko za kłos trochę wyższy śród innych kłosów, które swoją drogą wyróżniały się na ogólnem polu społecznem, jednorodnem. Szekspir tylko głośniej wyrażał to, co masa kłosów na około niego ciszej szeptała. Jestto teorya dziwnie powierzchowna. Głównem swem dziełem „Hamletem“ Szekspir nie tylko nie odbijał ówczesnego społeczeństwa, ale ono mogło się pojawić tylko dlatego, iż otoczenie społeczne w tej epoce krytycznej było rozluźnione. Były to czasy rozkładowe, rozpadanie się form społecznych pod wpływem krzyżowania się prądów zmąconych i niezgodnych. Tylko w takiej epoce mogła się pojawić jednostka zupełnie różna od swych ziomków. W istotnych geniuszach otoczenie

---

[1]) Przypomnijmy sobie przykład Chiu, których kultura niewątpliwie wysoka od wieków zakrzepła. (*Przyp. Red.*).

nas interesuje nie o tyle, o ile ono zostawia ślady na ich dziele — co jest niewątpliwem — lecz o tyle, o ile ono nie istnieje, o ile jest rozluźnione i tą swą słabością nie przeszkadza wyrażeniu się wewnętrznych, psychologicznych i antropologicznych sił zawartych w jednostce. Ona może podziemnymi chodami być związana,— pomijając istniejące otoczenie społeczne, lub nawet i całą przestrzeń cywilizacyi historycznej — z całym splotem instynktów i emocyi ze świata przedhistorycznego. Nic zresztą nie przeszkadza, by w takiej epoce zamieszania, dwa lub więcej nowych typów emocyonalnych, w danym razie n. p. Szekspir i Marlowe nie mogli przyjść jednocześnie do głosu. Antropologicznie rzecz biorąc, Szekspir mógł tyleż się różnić od innych anglików swego czasu, co pierwszy człowiek, który się pojawił śród antropopiteków dzięki trafom krzyżowania. Oczywista rzecz, iż ten pierwszy człowiek ogłoszony byłby przez antropopiteków za istotę niemoralną i za waryata. Taki sens mają właśnie wszystkie pisma p. Lombroso o geniuszu, którego mierzy miarką mieszczańskich przesądów. Jeszcze bardziej istotna natura tej miarki występuje w jego poglądach na przestępców. Nie ulega jednak wątpliwości, że i przestępca i geniusz przedstawiają typ antropologiczny różny od otoczenia, że ich pojawienie i rozrastanie jedynie przez warunki społeczne i ekonomiczne objaśnionem być nie może. Pojawienie geniuszu objaśnione być powinno nie wpływami społecznymi, lecz raczej antropologicznymi.

Poglądy Lombrosa na geniusz są tylko usystematyzowaniem tej ślepej nienawiści filistra, która w życiu społecznem tępi wszelką oryginalność, wszelką myśl twórczą. A kto wie, czy my w całem naszem stuleciu nie żyjemy tylko z kapitału pozostawionego przez ludzi Odrodzenia, romantyzmu i kilku rzadkich geniuszów rozrzuconych w biegu wieków, jak gwiazdy wśród zmierzchów ciemnych. A te mroki wciąż się zgęszczają. My prędzej jeszcze niż wyczerpiemy wszystkie kopalnie węgla, zamrozimy się od wyczerpania wszelkiego piękna na ziemi. Te skarby, które nam przeszłość pozostawiła, coraz bardziej się banalizują, tracą wszelką wartość estetyczną. Wagner przełożony na język katarynek, stanie się z czasem takiem samem utrapieniem, jakiem obecnie jest dla niektórych „Trubadur“ lub „Żydówka“. W miarę tego, jak skarby dotychczasowe sztuki coraz bardziej się banalizują, trzeba byłoby prowadzić kulturę coraz staranniejszą geniuszu, która odkrywałaby przed nami coraz nowe i nowe dziedziny piękna. Kto sądzi, iż rozwój dobrobytu i oświaty zwiększy sam przez się ilość geniuszów i piękna, mocno się myli: dość się przyjrzeć literackiej i artystycznej mar-

twocie współczesnej Europy, zwłaszcza jeżeli porównamy ją z rozkwitem tych dziedzin na początku naszego stulecia, a z drugiej strony dość wziąć pod uwagę nędzę ówczesną i dobrobyt obecny, by się przekonać, iż te rzeczy nie rozwijają się równolegle. Możnaby odpowiedzieć: utracimy sztukę, ale zyszczemy wiedzę. Otóż i tu znaczenie geniuszu w żaden sposób przecenione być nie może. Rozwój społeczny, podział pracy, dał nam w nauce tylko powódź materyału przygotowawczego, która bibułą drukowaną grozi zatopieniem ziemi całej. Materyał ten musi być zapłodniony po dawnemu intuicyą, szczęśliwą myślą, hypotezą, która go odrazu oświeca i która jest sprawą typu antropologicznego, a nie rozwoju społecznego. I owszem; rozwój społeczny ma właśnie dążność do wytępienia tej intuicyi i wzmożenia myśli logicznej, regularnej, opartej na podziale pracy. Kto sądzi, iż ta droga w zupełności wystarcza, mocno się myli. Głównem zadaniem wiedzy jest dotychczas sprawdzanie szczęśliwych pomysłów, opartych na intuicyi. A jaką bezpłodność rozpaczliwą ten podział pracy wprowadza w umysły! Zachwycamy się postępami wiedzy, ale zapominamy wciąż o jej ofiarach i stratach. Dla poznania jakiegoś drobnego kącika bytu trzeba poświęcić życie całe i to nie jednej osoby, ale często setek i tysięcy. I z nich jednemu udaje się uczynić krok naprzód, a reszta stoi nieruchomo na miejscu. Z dziesiątków tysięcy chemików, którzy obecnie istnieją, ilu jest takich, co poczynili jakieś odkrycia? Zaledwie kilku. Zachwycając się dobrodziejstwami wiedzy, trzeba policzyć i te jej ciemne strony. A zkąd my wiemy, jakie opustoszenia wiedza sprowadzi w naszej duszy, jakich rozczarowań jest źródłem, jakie źródła szczęścia pod jej tchnieniem zasycha? Wszystkie te plusy i minusy wiedzy policzy kiedyś socyologia. Ona zarazem rozpatrując historyę duszy ludzkiej wykaże, iż nasza wiedza była tylko urzeczywistnieniem jednej z możliwości poznania, iż ona mogła była iść być może inną drogą, nie poświęcając jednostki i omijając złe strony, które wskazaliśmy. Nauka istniejąca jest tylko urzeczywistnieniem jednej z wielu możliwości, przypadkiem, niewiadomo bynajmniej, czy najlepszym. Toż samo powiedzieć można o rozwoju społecznym wogóle. Niewiadomo wcale, czy socyologia nie będzie go kiedyś uważała za zjawisko patologiczne, w którem straty bynajmniej zysków nie okupują. Kto wie, czy my z naszem bezpieczeństwem i dobrobytem nie zamienimy się z czasem na pęcherzyki tłuszczu, rozstawione w porządku na półeczkach wylęgarni społecznej.

JAN STEN.

MŁODA POLSKA.

IV.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI.

Biedny artysta!... Gdyby być dziewczyną a dobra wróżka dała mi piękność i czapeczkę czarodziejską, któraby od złych oczu ustrzec mię mogła, pobiegłabym którego dnia o zmierzchu do tej opuszczonej jego izby i wzięłabym tę czarną, spaloną głowę w ręce i do serca bym ją tuliła. I szeptałabym mu do ucha śmieszne pustoty i bezładne słówka przekomarzań i żartów. Mówiłabym mu, jak mówią dziewczęta, bez składu i myśli o wszystkiem, co oczy ujrzeć, co uszy słyszeć mogą... o fuksyach, które kwitną u mnie w oknach, o kanarku, który mi śpiewa, o rechotaniu żab na błoniach, kiedy słońce już zajdzie. A skoroby mię chciał ująć cynicznie, wyrwałabym mu się szybko i odskoczyła, wprzód, zanimby zdążył mię schwycić. A gdyby zapytał, kim jestem, nie odpowiedziałabym nic, tylko oczy spuściła, a gdyby nalegał, odrzekłabym, żem zapomniała nazwiska i nie pamiętam, jak weszłam, ale wyjść nie mogę. I gdyby nie rozchmurzył się jeszcze i zły, że mu przeszkodzono w wieczornych dumaniach chciał się mię pozbyć i powiedział mi tryumfalnym głosem, że niema pieniędzy, ja wtedy parsknęłabym mu śmiechem w oczy i rzekła z komiczną powagą: wiem o tem.

Byłaby chwila ciszy. Zmierzch stawałby się wciąż gęstszy. Przez okno otwarte na ogród księży szłaby mocna odurzająca woń świeżej rozkopanej ziemi; pomieszane zapachy kiełkujących traw, siana zżętego, gwoździków i jak kule barwne rozkwitłych georginij zapanowałyby zupełnie nad kuchennym zaduchem. Byłoby w tym ciasnym pokoju coraz wonniej, milej i bliżej. Kiedy zaś mrok zeszedłby już taki, że rumieńców nie byłoby widać, podeszłabym znowu ku niemu i wzięłabym te ręce suche w swe dłonie i powiedziałabym mu cicho, bardzo cicho: słuchaj, ty moje złe, gwałtowne, ponure dziecko. Nie znałeś mię dotąd, ani mię teraz znasz jeszcze; ale ja dawno widziałam ciebie, myślałam o tobie i za tobą tęskniłam. Kiedy spotkałam cię i zobaczyłam twe oczy, jakby gorączką jakąś palone, takie suche i takie bolesne, aż mię coś za serce ścisnęło. I nie mogłam już o niczem myśleć, tylko o tych oczach twoich smutnych, o tem czole twojem zmarszczonem, beznadziejnem, zastygłem i było mi ciebie tak żal, tak żal, że ani wypowiedzieć tego. Tak mi się chciało cię poznać, pomówić, zapytać, czego ci brak, co cię

tak dręczy i pali. Tyle razy przechodziłam koło ciebie, patrzałam nawet może za bardzo, myślałam, że dostrzeżesz mię i spojrzysz choć na mnie, ale tyś nie patrzał nigdy i szedł tak zamyślony... Aż nie mogłam już dłużej wytrzymać i powiedziałam sobie, że niech się co chce dzieje, a ja do ciebie przyjść muszę. Ani tego odwrócić, a ty chyba nie zjesz mię przecie. Nie gniewaj się na mnie i nie myśl źle o mnie, bo nawet nie wiesz, jak mi się serce za tobą rwało. I tak mi dobrze, że jestem przy tobie, choć nie zbyt jesteś grzeczny i nic miłego mi nie powiedziałeś — a przecież jestem gościem u ciebie. Ale nie jesteś już tak smutny i czoło masz jaśniejsze, gdy odgarnę zeń włosy, — i za to jeszcześ mi milszy. Wszak i tobie lepiej ze mną? Mów!

A gdy on nie odpowiedziałby jeszcze, tylko silniej za ręce mię ujął, mówiłabym dalej: Jeśli chcesz, zostanę przy tobie. Jak wietrzyk ciepły, otoczę cię pieszczotą; przykrość każdą od ciebie odsunę; jak pracowita pszczoła, będę radości zbierała dla ciebie. Gdy pojawi się chmura na twem czole, będę śpiewała, śmiała się, tańczyła, dopóki nie pierzchnie; gdy łza stanie ci w oczach, osuszę ją pocałunkami a źrenice nakryję ci dłońmi, aby wszystko różowem ci się zdało, jak krew, która we mnie płynie, a słońce nie oślepiało cię więcej. Gdy noc zapadnie i chłodem powieje, wymykać się będziemy za miasto. Biegać będziemy po trawie, jak dzieci, będziemy się gonić, śmiać i żartować. Lub zasłuchamy się w szmery zewsząd płynące, zmieszane, tajemnicze: w rżenie koni, gdzieś koło chat wiejskich na Woli, w turkot bryczki na drodze podmiejskiej, w plusk Wisły, który ze skrzydeł wiatru się osuwa... Ile piękna jest na ziemi, tyle naszem się stanie, o ukochany mój!

Wtedy on ukląkłby przedemną i błogosławił mię za rozkosz życia, którą mu przyniosłam. Całowałby tysiąckroć ręce moje i nogi i bezładnie głosem od łez drżącym opowiadaćby począł, jak dawno, jak ogromnie za jedną chwilą taką tęsknił. Słowa rwałyby mu się na ustach, mieszały ze śmiechem radosnym, spazmatycznym, do płaczu już prawie podobnym — i znów tylko w pocałunkach wylewałaby się przedemną ta umęczona, wyschła — a tak rosy spragniona dusza. Ja zaś głaskałabym zlekka jego włos kruczy i powtarzałabym cicho: dość już, no dość już, dość... I czułabym, jak dłonie jego chwytają gorąco, kurczowo me ręce, jak przygarniają mię ku sobie, a usta niewprawnie szepcą mi coraz bliżej, coraz ciszej jakieś nieprzytomne, słodkie zaklęcia, prośby, błagania rzewne, jak modlitwy... i czułabym, jak serce we mnie mdleje, roztapia się w jakiejś niewymownej błogości, w jakiejś chęci ofiary i poddania,

jak w skroniach mi dzwoni, a wargi poruszają się bezdźwięcznie prawie: drogi, nie trzeba, tak nie trzeba, nie...

I tak zeszedłby nas niespodzianie świt ranny i bladą, wciąż jaśniejącą szarością powlekłby mrok nocny. W brzasku niepewnym widziałabym znów tę twarz ogorzałą, czarnowłosą, lecz rozpogodzoną jakąś, uśmiechniętą — i w oczach zamiast spojrzeń szorstkich jak zgrzyty, płonąłby wzrok miękki i ciepły, tak pełen zachwytu, wdzięczności i uwielbienia. I wtedy zapomniałabym zapóźnych i zbytecznych łez dziewczęcych i wybuchnęłabym wielkim, głośnym śmiechem radości, upojenia i życia. Chłód świtania przecierałby nam oczy, twarze odświeżał i na dzień nowy budził. Rzeźkość igrałaby nam w ciałach; chciałoby się nam jeść, pić, biegać, śpiewać, weselić się, szaleć. Rzucilibyśmy się do szafy na wyścigi, zali kawałka bułki lub mięsa w niej nie znajdziemy; pobiegli do komina, aby ogień rozpalić i wodę do herbaty nastawić. A gdybyśmy drewek czy węgli nie znaleźli, chwycilibyśmy wszystko, coby pod ręce nam wpadło; odłupany kawałek nogi stołowej, stare gazety, książki porozrywane, kartki papieru, zapisane niedbale... I gdy tak w huczącym ogniu płonęłaby cała jego chwała, to co już stworzył i to co chciał stworzyć, stalibyśmy oboje trzymając się w pół i śmieli się do rozpuku, patrząc jak płomień psotny wysuwa ku nam złoty swój język i rumieńce rzuca nam na twarze...

Niestety!... Nie jestem dziewczyną, nie mogę wbiec jak czarodziejka miłości do samotnego pokoju, zkąd corocznie Zygmunt Niedźwiecki wypuszcza w świat po tomie swych nowel — nic więc odemnie szkicom tym nie grozi. Szkodaby ich zresztą. Są przepyszne nieraz zwięzłością i prostotą stylu, który dźwięczy, jak uderzenie klingi; szyderczy, ironiczny dowcip drwi w nich nielitościwie z nikczemności i słabości ludzkiej, a nieśmiertelna Nędza odbija się w nich z bezlitosną prawdą. Z taką prawdą i z takiem zimnem, że chyba nigdy miłość, ta jedyna rodzicielka poezyi i złudzeń, nie złożyła pocałunku na czole Niedźwieckiego, — a ja nie mogę jej zastąpić. Ona nie powiedziała mu, że życie może być piękne i świat uśmiechnięty, jak dziecko, że dusza ludzka może mieć skarby marzeń, pożądań i tęsknot, o jakich nie śniło się aniołom, że usta kobiety mogą mieć słodsze i czystsze dźwięki od chrapliwych słów samicy i prostytutki. Ale miłość ominęła go, nie dała mu złudzeń i jak jałmużnę rzuciła mu w oczy świat prawdy. Biedny poeta, któremu tylko tyle pozostało!...

LUŹNE KARTKI.

Oryginalny jubileusz.

(St. Os...arz) Obywatele państwa konstytucyjnego tylko z wielkiem natężeniem wyobraźni mogą przedstawić sobie warunki, w jakich musi się rozwijać ruch robotniczy w zaborze rosyjskim.

Zupełny brak jakichkolwiek bądź praw Galicyi, wolności zgromadzeń, możności istnienia prasy i literatury robotniczej, a zamiast tego szereg szpiclów, ustawiczne rewizye i aresztowania, świst nahajów kozackich i kul — oto tło, na którem rozwija się polski ruch robotniczy pod caratem. A droga rozwoju tego ruchu zaznaczona jest szubienicami członków „Proletaryatu“, trupami robotników Żyrardowa, Łodzi, Dąbrowy...

Jednakże ruch tam istnieje bez przerwy, rozwija się, zatacza coraz szersze koła i nawet święci tryumfy nad tak przemożnym wrogiem, jak władze potężnego caratu.

Jednym bodaj czy nie najbardziej podziwu godnym tryumfem jest pięcioletnie istnienie „Robotnika“ warszawskiego — głównego organu Polskiej Partyi socyalistycznej. Właśnie w czerwcu 1894 r. ukazał się z tajnej drukarni partyjnej pierwszy zeszyt tego pisma i od tego czasu, pomimo wściekłej naganki żandarmów, pismo to regularnie opuszcza drukarnię krajową, tak samo regularnie rozszerza się po całym kraju, a obecnie mamy przed sobą już Nr. 31.

Jeśli w krajach konstytucyjnych, gdzie na usługi partyi i jej agigatorów stoją liczne stowarzyszenia, wielkie zgromadzenia publiczne, nareszcie mównice parlamentów, pismo jest najsilniejszym i naturalnym sposobem wpływania na masy, to cóż dopiero mówić o kraju podbitym, rządzonym despotycznie i pozbawionym wszelkich praw politycznych?

Tu pismo odgrywa rolę główną, gdyż wszelkie tajne zebrania muszą z natury rzeczy być nader szczupłe co do liczby uczestników, a nawet najniżsi funkcyonaryusze partyjni mogą się stykać osobiście tylko z zupełnie zaufanymi towarzyszami — wprost ze względów bezpieczeństwa.

W takich warunkach pismo jest łącznikiem pomiędzy masą robotniczą a ściśle zakonspirowaną organizacyą partyjną.

Ale pismo któreby podołało wszystkim tym zadaniom, musi być organem nie jakiejś grupy nikłej, lecz silnej, wpływowej partyi.

Za dowód najlepszy mogą posłużyć te pisma tajne, które od czasu do czasu powstają w Rosyi, ale Nr. 2-go prawie nigdy nie przekraczają. Nawet organizacya tak zasobna w środki i ludzi jak „Narodnaja Wola“, zdołała wydać zaledwie 9 Nrów swego organu, oddawszy przytem w ręce policyi cały szereg drukarń. Warszawski „Proletaryat“ wydał tylko 5 numerów.

Wobec tego fakt wydania 31 Nru „Robotnika“ i to z jednej i tej samej tajnej drukarni, jest czemś poprostu niesłychanem nie tylko u nas, ale w całym w ruchu rewolucyjnym w granicach caratu.

Jak wiadomo, od czasu rozbicia t. zw. wielkiego „Proletaryatu“ aż do lutego r. 1893-go nie istniała w zaborze rosyjskim żadna jednolita partya socyalistyczna, kierująca całym ruchem. Dopiero w roku 1893 nastąpiło połączenie istniejących grup w jedną partyę — P. P. S. Ma się rozumieć, że słabe grupy i kółka nie mogły ani marzyć o wydawaniu organu. Dopiero kiedy powstała partya, można było o nim pomyśleć, ale rok upłynął, zanim stosunki wewnętrzne partyi zostały uporządkowane o tyle, że nic już nie stanęło na zawadzie utworzeniu organu. Na drugim zjeździe P. P. S. uchwalono niezwłocznie przystąpić do wydawania „Robotnika“.

Na początku lipca 1894 r. rozpowszechniono Numer 1 „Robotnika“ i odtąd pismo to wychodzi prawie regularnie co miesiąc aż do końca roku, kiedy Centralny Komitet Robotniczy postanowił przerwać na pewien czas wydawnictwo w celu ulepszenia go i wprowadzenia pewnych zmian.

Już po pierwszych 6-ciu numerach można bylo ocenić ogromne znaczenie pisma przyjętego przez ogół robotników z entuzyazmem. Należy uprzytomnić sobie, że wówczas istniała była jeszcze grupa secesyonistów nazywająca się „Socyaldemokracyą Królestwa Polskiego“, która posiadała dość liczne stosunki wśród robotników i bruździła gdzieniegdzie partyi *). Otóż z chwilą ukazania się „Robotnika“ P. P. S. zaszachowuje warchołów i przyciąga do siebie nawet tych z robotników, którzy zaliczali siebie w poczet zwolenników S. D. K. P.

Młoda partya musiała wytężyć wszystkie swe siły na zabezpieczenie sobie bytu, musiała ostrożnie nowych dróg i sposobów walki próbować. Była więc pewna chwiejność i niejasność w samej działalności partyi co się też wyraźnie odbijało w pierwszych numerach „Robotnika“. Jakieś wahania się, czasami niechęć wyraźnego postawienia kwestyi — oto co daje się w nich dostrzedz.

Ale ten okres przejściowy długo trwać nie mógł. W numerach, które się znowu poczęły ukazywać po półrocznej niemal przerwie, wad powyższych już nie spostrzegamy. Treść urozmaica się, ale zarazem staje się całkiem jednolitą. We wszystkich artykułach i notatkach widać cel jeden: dążność do wyrobienia społecznego i politycznego klasy robotniczej i uczynienia jej siłą kierowniczą w społeczeństwie.

Niema kwestyi obchodzącej masy robotnicze, której w „Robotniku“ nie poruszonoby ze stanowiska interesów proletaryatu i z punktu widzenia programu partyjnego nie oświetlono. Czy to chodzi o wyjaśnienie pod-

*) S. D. K. P. połączyła się ostatecznie z P. P. S. w r. 1895-tym.

staw walki klasowej u nas, czy kwestyą rusifikacyi, czy o porównanie naszych stosunków z zachodnio-europejskimi, czy o rolę rządu w różnych dziedzinach życia, czy o sprawę ugody, czy o kwestyę żydowską, robotnik z ufnością może zwrócić się do swego organu, wiedząc że zawsze znajdzie w nim wyjaśnienie spraw, które go najbardziej dotyczą. Oprócz artykułów wyjaśniających najbardziej aktualne sprawy, robotnik znajduje tu i informacye o stosunkach i walce robotników z za kordonu i zagranicą, oraz mnóstwo korespondencyi z najrozmaitszych zakątków kraju.

Jednem słowem walczący proletaryusz polski znajduje w swym „Robotniku“ i doradcę, i kierownika, i pocieszyciela, i źródło otuchy w walce, to też nic dziwnego, że otacza swe pismo czułem przywiązaniem, którego dowody składa codziennie. Oto co pisze np. jedna z bliżej redakcyi „Robotnika“ stojących osób: W mnóstwie korespondencyi, pisanych często ręką niewprawną, z fabryk nieobjętych organizacyą partyjną, spotykamy naiwne nieraz, lecz szczere wyrazy przywiązania do „Robotnika“ do „Socyalnego pisma“ jak go nazywają niekiedy w szerokich masach ludu roboczego. „Kochanemu Robotnikowi donoszę“, „nasze pismo“, są to słowa często w korespondencyach powtarzane. Redakcya otrzymała nawet wiersze układane na cześć „Robotnika“; forma utworów niezręczna być może, lecz z każdego wiersza bije uczucie radości i dumy. Ale jaka to bywa radość w warsztatach i fabrykach, gdy „Robotnik“ złoży jaki dowód sprężystości i energii! A gdy z jakichkolwiek powodów „Robotnik“ się opóźnia, zewsząd się sypią zapytania „cóż Robotnik kiedy wyjdzie?“, „czy się nie wsypał!“ i t. d.“.

Wzrost siły i stosunków partyi odbija się stale w „Robotniku“, który pomału przestaje z powodu nadmiaru materyału zadawalniać wszystkie ogniska ruchu. Wytwarzają się obok niego inne stałe lub czasowe organy („Górnik“, „Radomianin“, „Białostoczanin“). Olbrzymi rozwój ruchu w stolicy kraju powoduje wydawanie specyalnych dodatków dla Warszawy. Powstaje „Kuryer Robotnika“, który ma informować natychmiast o najważniejszych faktach.

W końcu roku 1897 „Robotnik“ obchodził ukazanie się numeru 25-ego, w którym znajdujemy ciekawy bilans pisma. Dowiadujemy się z niego, że 25 numerów rozpowszechniono w 32.000 egzemplarzy, na co wzięto 1.700 funtów papieru, a cały komplet „Robotnika“ obejmował 296 stron druku. Cyfry powyższe — mówi od siebie Redakcya „Robotnika“ odzwierciadlają rozmiary tajnie dokonanej pracy naszych zecerów i kolporterów, lecz nie dają jednak jeszcze całkowitego obrazu działalności, związanej z „Robotnikiem“. Nie dość bowiem mieć tajną drukarnię i zabezpieczyć ją przez ten długi czas od poszukiwań wielotysięcznej zgrai carskich siepaczy — trzeba jeszcze zapewnić pismu dostateczną liczbę współpracowników z całego kraju, ażeby mogło ono godnie sprostać swemu zadaniu. Pod tym względem każdy numer „Robotnika“ składa nowe świadectwo, jak rozgałęzione są nasze stosunki. Te setki korespondencyi, kartek, druków, nawet opakowań od tytoniu, zapisanych niewprawnemi rękami, zasmolonych przy przechodzeniu z rąk do rąk, zanim doszły do redakcyi; te setki kolporterów, spieszących bez względu na areszty rozdać numer towarzyszom; te tysiące stałych czytelników

dzielących się po kilku, kilkunastu jednym egzemplarzem; ten strach wreszcie wszelkich dusz podłych, gdy ujrzą swe czyny napiętnowane w „Robotniku“, — wszystko to dowodzi, że pomimo swej tajności „Robotnik“ jest najbardziej rozpowszechnionem wśród robotników pismem, jest jasnym wyrazicielem pragnień całej klasy robotniczej, budzącej się do samodzielnego życia, do walki o swe interesy i swe ideały. Istnienie „Robotnika“ i jego szerokie rozpowszechnienie — to nie tylko dowód energii i wytrwałości zatrudnionych przy nim jednostek, lecz zarazem wyraz siły tego potężnego ruchu socyalistycznego, który i u nas ogarnia coraz szersze koła ludności pracującej. I dlatego właśnie „Robotnik“, niosąc otuchę i wiarę tam, gdzie panowało przygnębienie i zwątpienie, stał się dla nas wszystkich ukochanem dzieckiem, naszą dumą. Tak; możemy z dumą wskazać na „Robotnika“, bo istnienie jego jeszcze raz potwierdza, że w całym narodzie polskim jest tylko jedna rewolucyjna klasa — klasa robotnicza; wbrew pętom niewoli politycznej potrafiła ona wyłonić z siebie tajną organizacyę dla obrony swoich interesów i na drodze nielegalnej zdobyć to czego carat nie daje — wolność słowa“.

Przegląd teatralny.

(St). „Bunt Napierskiego“, dramat w 3 aktach przez J. Kasprowicza. Ogromnie łatwo jest ganić dramat p. Kasprowicza, gdyż niewątpliwie jest to utwór bardzo słaby. Z wyjątkiem pierwszego aktu, gdzie sceny masowe wypadają silnie i zwłaszcza w zakończeniu dają słuchaczom jednę chwilę dreszczu — dwa pozostałe akty przypominają raczej libretto opery *à la Donizetti*, a nie dramat współczesny. Sceny plączą się bez najmniejszego związku, pojawianiem się osób na scenie rządzi kaprys i niczem niewytłomaczona dowolność. Scena wymaga logiki i gdy trzeba akcyi, wymaga działania a nie słów. O tem Kasprowicz nie pamiętał doszczętnie: ztąd np. tyrada Napierskiego w 3-cim akcie: nieprzyjaciel oblega mury, słychać zgiełk szturmu, a wódz-bohater zamiast wybiedz i walczyć, stoi na scenie i wygłasza mówkę — do publiczności, bo nikogo już więcej przed kulisami niema. Również w 3-cim akcie miłosne *recitativo* z Hanką (wśród tegoż gwałtu i boju) i *septet* w zakończeniu po szturmie i porażce Napierskiego są w dramacie wprost śmieszne, byłyby jednak doskonałe, gdyby kto z „Napierskiego“ opracować chciał libretto operowe.

Mniejsza o te wady jednak. „Bunt Napierskiego“ przez rysunek charakterów, przez samo traktowanie tematu, rzuca światło na twórczość Kasprowicza z jednej — z drugiej zaś strony jest utworem, który musi mieć pewną wagę w historyi dramatu polskiego. Nie w usterkach i śmiesznostkach scenicznych leży najgłębszy błąd dramatu Kasprowicza, ale w rysunku właśnie, w barwie, jaką tematowi swemu nadał. Najsłabszym punktem dramatu jest sam Napierski. Kasprowicz uczynił zeń nieopatrznego, nierozważnego pijaka i romantycznego uwodziciela-kochanka. Ani historya, ani podanie ludowe nie przedstawia go w tem przebraniu. Postać to

wprawdzie zagadkowa, niewyjaśniona jeszcze, ale już niektóre rysy jej występują wyraźnie — a nie należało ich pominąć, gdyż one właśnie pełne są artystycznych piękności. Domniemany syn królewski, z przepychem dworu obyty, układny, wykształcony, świadomy świata, który zwiedzał, zuchwały aż do szaleństwa, wpada w górski zakątek, wymową uwodzi górali (u Kasprowicza — góralki), rozpisuje uniwersały, zmawia z Chmielnickim, zapala bunt i rusza przed siebie, ku Krakowu, ku dawnej stolicy. Co go pcha? czy ambicya nieposkromiona, korona, chwiejąca się na niedołężnych skroniach stryja, czy mara swobody ludowej, idea szczęścia i wyzwolenia? Jakbądź, jest to postać potężna, której Kasprowicz dźwignąć i unieść w swym locie poetyckim nie potrafił. Napierski Kasprowicza jest mały, bardzo mały. I dziwna, że najsłabszy jest właśnie jako działacz społeczny: Kasprowicz nie włożył mu w usta ani jednej nawet silnej chociażby tyrady społecznej. Łętowski mówi od Napierskiego znacznie lepiej. Jest to charakterystyczną cechą dzisiejszej produkcyi Kasprowicza, że odsuwa się coraz więcej od tematów społecznych — te właśnie stanowiły dawniej jego siłę i zapewniły rozgłos — a zwraca ku erotyzmowi i spekulacyom filozoficznym („Miłość“, „Krzak dzikiej róży“). Ten sam nastrój duszy jest i w „Buncie“. Kasprowicz uległ poetyckiej autosuggestyi, a szczera, życzliwa lecz bezlitosna krytyka powinna go z niej uwolnić. Poeta ten jest nieudolnym lirykiem i dziecinnie naiwnym filozofem. Ilekroć na erotyzm lub refleksyę filozoficzną schodzi — jest wprost niemożliwy; nie daje się czytać; chwalą wszyscy, nikt nie czyta. Dowód? Dla braku miejsca wystarczyć musi jeden: nikt, absolutnie nikt, Kasprowicza nie naśladuje. Tetmajer, Niemojewski, młodsi i mniejsi nawet poeci mają naśladowców, Kasprowicz ich niema — jest rzeczywiście jedyny w swoim rodzaju. Dramat Kasprowicza jest mimo wszystko jednak niewątpliwą zasługą literacką. Poeta zwrócił w nim uwagę na temat, który tak jest piękny, że stanowczo stanie się kiedyś treścią arcydzieła. Płód taki jednak nigdy nie wystrzela odrazu; poprzedzają go nieśmiałe, blade pędy, po których dopiero on piąć się będzie. W „Buncie“ Kasprowicza przyszły genjusz, twórca prawdziwego Napierskiego, znajdzie wiele wskazówek, czego wystrzegać się i unikać winien. Niewdzięczną rolę zwiastuna dzieł przyszłych wziął na siebie Kasprowicz w swym dramacie — i za to słusznie należy mu się wdzięczność wszystkich miłośników poezyi.

* * *

„*Nowa Dejanira*“, *dramat w 5 aktach Juliusza Słowackiego.* Zarzucano mi, że nie umiem chwalić i czuję sam, że zarzut ten jest prawdą. Ta wada już tem samem uwalnia mię całkowicie od sprawozdania z „Nowej Dejaniry“. Pozostaje więc tylko prosić nową dyrekcyą, której już tu niech wolno będzie życzyć dbałości o repertuar i największego powodzenia, aby na przyszłość oględnie dawała starych mistrzów, bo o utratę młodych może nas przyprawić. Na premjerze jak struty chodził sympatyczny autor popularnego „Zaczarowanego koła“, i biadał i narzekał i przysięgał, że pisać, po tem co ze sceny słyszał, przestaje

na zawsze. Niedowiarki twierdziły, że to „Strachy na Lachy“ — ale nuż-by? Nie widzielibyśmy już p. Siemaszkowej w roli „młynarki“? Nie, nie...

Tak dźwięczały stare Słowackiego rymy.

Odezwa.

Otrzymujemy następujące pismo:

Odezwa komitetu zawiązanego w celu sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do ojczyzny. Pięćdziesiąt lat dobiegło, jak na obcej ziemi umarł poeta najdoskonalszy, zgasł duch może najgorętszy, jakiego Polska wydała. Był sternikiem duchami napełnionej łodzi; na zdartych w wichrze kul sztandarach jak pies się położył; z lśniącego puharu swego serca pił do narodu swoim duchem, krwią swą i zdrowiem; nie chcąc uwierzyć w śmierć Ojczyzny, na skrzydłach pieśni w błękit ją unosił — aż tam kędy Pan Bóg świeci i puszczał, pewien, że jeśli żywa, to poleci — a kruszyło się w nim serce smętne, bo on nikogo nie miał ze szlachetnych i próżno słowa wyrzucał namiętne, pełne łez i krwi i błyskawic świetnych; co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynał, tą myślą modlił się — i nią przeklinał — i tak cicho odleciał, jak duch, có odlata... Umarł opuszczony i smutny i leży w kraju obcym — bez sławy za życia, bez czci po śmierci. Dzisiaj Bóg widzi jego białe kości w straż nie oddane kolumnowym czołom — chociaż on także miał ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna, a która także kochać go powinna...

Czyż już dzisiaj tak mało miejsca na naszej biednej ziemi, że nie zdołamy z niej wygarnąć mogiły dla tego, który swą duszę i życie dla tej ziemi poświęcił, blaskiem ją swym opromienił? O! czyż już tacy nędzni jesteśmy, że się na grosz zdobyć nie możemy, by wznieść grobowiec dla Króla-Ducha, który nas wiódł gdzie Bóg — w bezmiar, wszędzie, w dzień jako słońce, w noc jako żar!? O zaiste! już by też była ta Ojczyzna biedna, gdyby dla niego zginionego młodo łez nie znalazła — ni listka wawrzynu na wieniec, ni gródki ziemi rodzinnej na grób, ni grosza na sprowadzenie zwłok jego świętych do kraju, który tak ukochał!

Rodacy! dajmy jeszcze jeden dowód, że naród nasz umie czcić swoich wielkich — pokażmy, że płomienny testament Króla-Ducha głęboko nam się wrył w serca; zapoznanemu i nieuczczonemu za życia oddajmy przynajmniej po śmierci to, na co sobie u nas zasłużył — nie skąpmy grosza, sprowadźmy do Ojczyzny jego popioły, które tam w grobie obcym za ziemią swoją tęsknić jeszcze muszą! Niechże na ten wzniosły cel w jubileuszowym tym roku obficie składki popłyną; niechże się przekona duch twórcy Kordyana i Anhellego i Księdza Marka, iżeśmy o nim nie zapomnieli, iż nie nadarmo za życia wyrzucał swe błyskawice. Każdy najdrobniejszy nawet datek będzie dowodem żywotności narodu i naszych ideałów — i nabierze wielkiej wagi ze względu na zamiar, w jakim się go złoży. Od Was rodacy, od Waszej ofiarności teraz tylko zależy, by jaknajprędzej nadeszła chwila, gdy będzie można

myśl w łonie młodzieży powstałą w czyn zamienić i w prastarym grodzie podwawelskim jeden jeszcze wznieść sławy grobowiec. Sobie samym przez to największą cześć wyrządzimy, bo On nie jest niczem swej Ojczyźnie dłużny, chociaż mieć będzie mogiłę — z jałmużny. W Krakowie, w lipcu 1899. Za Komitet: *Adam Bełcikowski*, przewodniczący, *Kazimierz Bartoszewicz, Odo Bujwid, Zdzisław Czaplicki, Dr. Zofia Daszyńska-Golińska, Józef Kotarbiński, Seweryn Krzemieniewski, Dr. Ryszard Kunicki, Adam Siedlecki, Jan Stanisławski, Włodzimierz Tetmajer, Dr. Jerzy Żuławski.*

SPRAWOZDANIA.

(db) *Wacław Żmudzki.* „Bór". Powieść. Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie. 1899.

Po „Syzyfowych pracach" Zycha, po dwutomowej powieści Rawity „Z domu niewoli" — na półkach księgarskich zjawił się „Bór" Żmudzkiego.

Trzeci to już w stosunkowo krótkim czasie utwór, nie liczący się z wymaganiami cenzury, osnuty na tle rozpaczliwej walki narodowej w zaborze moskiewskim.

U Zycha walka ta odbywa się w murach szkolnych, a przedstawicielami jej są d z i e c i, w których stopniowo, w miarę rozwoju umysłowego, budzi się duch protestu. W tendencyjnie przeciw u g o d z i e wymierzonej powieści Rawity, ofiarą tej samej walki, ale prowadzonej w granicach legalnych, pada nauczyciel wiejski, Bajbuza, uosabiający ugodę. U Zmudzkiego wreszcie — walkę tę podejmuje sam rdzeń narodu, chłop polski z lubelskiego, rdzeń niestoczony, zdrowy, obiecujący wiele.

Trzy te powieści są czemś znamiennem w literaturze naszej, są przygrywką jakby nowego jej rodzaju. Dźwięczy w nich, od dłuższego już czasu nieznana w belletrystyce nuta rewolucyjna, która u Żmudzkiego odzywa się najsilniej, nabiera brzmień najpełniejszych i najtęższych. Żmudzki niema w sobie ani bolesno-melancholijnego nastroju Zycha, ani politycznego rozumu Rawity, ma tylko temperament, który go z żywiołową siłą pcha do walki z uciskiem, który mu się borykać każe z nieprzyjacielem i tępić go najradykalniejszymi środkami. Autor „Boru" jest irredentystą. Powieść jego odgrywa się na tle szumiącego lasu, który jest jakby symbolem ostatniej walki o niepodległość, symbolem znanym i używanym już niejednokrotnie. Bór, kołysany wichrami burz, trzeszczący konarami sosen, rozbrzmiewa potężną — echową pieśnią, która, jak blekot, upaja młodego chłopca, Ignaca, sierotę, syna „zaprzeczonej" (unitki) i robi zeń apostoła wielkiej idei odrodzenia.

Ignac jest typem chłopa, o silnie wybujałym pierwiasku mistycznym, o ciemnem poczuciu krzywd i niedoli i o budzącej się świadomości. Nie jest to człowiek pozytywny, walczący o pewne prawa, w imię pewnych interesów — jest to wysubtelniony duchowo chłop, w którym drzemie utajona jakaś siła, potęga, która się wyzwoli w pewnym momencie i pójdzie przed siebie, jak burza, druzgocąca wszystko; jest to natura szlachetna, marząca, dumna, zamknięta w sobie, psychologicznie przedstawiająca trudny do rozwiązania węzeł. Żmudzki jednak przedstawił i przeprowadził go konsekwentnie w tych granicach, w jakich go pomyślał. Ignacowi jego zarzucić można pewną tylko nadczułość, pewien sentymentalizm, który nie licuje z postacią, jaka w wyobraźni czytelnika kojarzyć się musi z pojęciem mocy i hartu. Jako uosobienie reakcyi, jako agitator, który ma za sobą lud pociągnąć, jako chłop-rewolucyonista, bohater Żmudzkiego wykazuje za mało męskiej energii i przechodzi przez powieść w powłóczystych szatach apostoła, z Chrystusowem namaszczeniem, jak zjawisko nie z tego świata. Obok tej głównej postaci występuje cały szereg innych, w których odtworzeniu autor dał dowód doskonałej znajomości ludu i stosunków w Lubelszczyźnie. Bystra obserwacya i dobre psychologiczne pogłębienie złożyły się na tak prawdziwe figury, jak ojciec Sergjusz, pop z Samowoli, Włady-

sław Feliksowicz Wrzosek, zrosyjszczony nauczyciel wiejski, stary proboszcz, który pierwszy pada ofiarą żandarmów, inteligent Łatek, gajowy Marecki i t. d.

Barwny i interesujący tok opowiadania, które rozpoczyna się od prowadzonej w tym kącie ziemi polskiej walki pomiędzy trzema kościołami: rzymskim, unickim i prawosławnym — urozmaica się w dalszym biegu z rozmachem kreślonemi scenami, jak przemycanie książek nielegalnych z sąsiednej Galicyi, przysięga w lesie, którą składają chłopi na ręce Ignaca, uroczyście przyrzekając walczyć do ostatniego tchu i w tępieniu ciemiężców nie ustawać, wreszcie — zabranie Ignaca przez żandarmów.

Te dwie ostatnie sceny są może zbyt teatralne, pierwszej bowiem towarzyszy huk piorunów i łomot gałęzi w borze, nad którym przeciąga ciężka, letnia burza; drugi zaś obraz rzucony jest na tło gorejącej cerkwi, wskutek czego bohater ukazuje się nam w ostatniej chwili, jakby w ogniu bengalskim, co czytelnika odwykłego od takich efektów razi. Obroną jednak książki w tym względzie, jak i wogóle pod względem artystycznym — jest to, że autor miał na widoku przedewszystkiem czytelnika z ludu i pisał powieść t e n d e n c y j n ą, w której zadania estetyczne na plan drugi ustąpić musiały. Bądź co bądź i w tej formie powieść świadczy o wybitnym, samorodnym talencie autora, który znakomicie wyrobić się powinien.

„Bór“ niewątpliwie z dużym pożytkiem przez lud czytany być może, zwłaszcza, że tętni w nim żywa nadzieja i niekłamana wiara w przyszłość, a mimo smutnego rozwiązania brzmi hasło: N i k t d l a i d e i n i e g i n i e m a r n i e!...

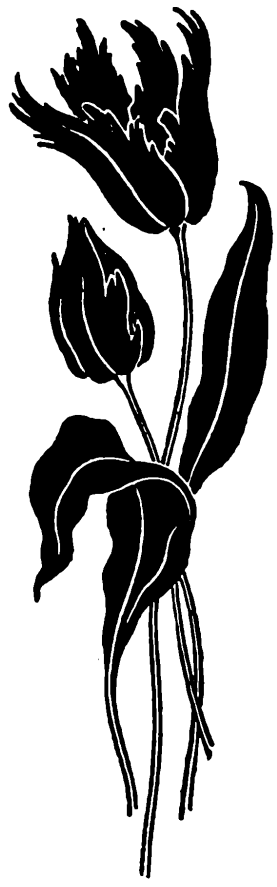

WANDA DALECKA

WIOSENNY WIECZÓR.

... W końcu dał się namówić.

Nie dlatego, aby go przekonywały argumenty przyjaciela i nie dlatego, aby się wzruszył dyplomacyą jego, przez całe popołudnie prowadzoną artystycznie. Poczciwiec! niewyczerpany był w zabiegach i pomysłach, aby uśpić jego czynność a potem zajść znienacka i zawładnąć nim zupełnie; ostrożnie, zdaleka obchodził wszystko, co o drażliwe kwestye potrącić mogło, grał na dawnych jego upodobaniach, udawał nawet najnaiwniej podobnie myślącego człowieka — słowem, ten najlepszy z przyjaciół zachował z nim wszelkie miary ostrożności, jakby względem chorego dziecka. Śmiesznie było patrzeć, kiedy w całym rozpędzie swych tkliwo-żartobliwych zabiegów spotykał się nagle ze wzrokiem swego »pacyenta.« Tak dalece stropioną wówczas miał minę, iż »pacyent« przymykał oczy lub nadawał im zwykły dobroduszny wyraz, aby nie męczyć dłużej miłosiernego kolegi.

Lecz nakoniec dość już tej gry. Niech go sobie zabiera i niech z nim robi co chce — zasłużył na to kilkogodzinną gorliwą pracą; jemu wszak w gruncie rzeczy jest to zupełnie obojętnem, gdzie i jak dzisiejszy wieczór przepędzi. Tylko oto, strasznie nie chce mu się podnieść z łóżka, ubrać się; na ogół, poruszać się. To jedno dobre, że myśleć nie potrzebuje — Malczak za niego i to zrobi.

— No, niechże więc będzie, jak chcesz! Tylko — naprawdę nie rozumiem, po co to wszystko...

Usiadł na posłaniu, nogi spuścił, stęknął ciężko i wpół rozrzewniony, wpół uśmiechnięty popatrzał na Malczaka. Ten naturalnie tryumfował; nie mógł przecie podejrzywać, iżby przyjaciel spostrzegł tak usilnie ukrywane wrażenie.

Tamten, dźwignąwszy się z posłania, dał się Malczakowi obsłużyć jak niańce.

Wstyd miałby się przyznać, jaką mu to niewysłowioną przyjemność sprawiało. Oddawna nie doznawał tego przyjemnie wygodnego, pieszczącego uczucia, gdy dokoła nas krzątа się staranna a czuła ręka. Oddawna — od lat już ośmiu może — jak jest samotnikiem; nikomu niepotrzebnym, do niczego nie dającym się przystosować — niby grzyb narosły na gnijącem drzewie...

— Ech, co tam! — wstrząsnął głową i zanucił nagle jakiś urywek z piosnki.

Malczak spojrzał nań bystro i spytał:

— Co ci na myśl przyszło?

— Nic. — I zamilkł. Brwi mu tylko ostro się ściągnęły. Lecz po chwili, uczuwszy na sobie wzrok przyjaciela, rozjaśnił się uśmiechem i patrząc nań z ukosa, zawołał wesoło:

— Ech, szczupaku, szczupaku!

Była to szkolna jeszcze nazwa Malczaka, Bóg wie z jakiej przyczyny mu nadana.

Malczak rozpromienił się także; nie miał już najmniejszej wątpliwości, że w obecnej chwili ma kolegę w ręku.

Jakoż ten stawał się miękki jak wosk. Dał się najporządniej napoić herbatą, przekąsił coś przytem i nawet butelkę z rumem pozwolił sobie z rąk wyjąć i zamknąć do szafki. Malczak tymczasem krzątał się po pokoju coraz zacieklej, odpowiadał na żarty przyjaciela i najniepotrzebniej w świecie zaglądał we wszystkie kąty — prawdopodobnie aby ukryć owładające nim coraz silniej wzruszenie.

— Co za poczciwy, co za kochany chłop! — mówił do siebie w takich chwilach. — Gdyby też tak nadaremnie zaprzepaścić siebie!

Niezaprzeczenie — wierny przyjaciel mógł czuć szczery ból w sercu i gorzkie łzy w oczach, kiedy po kilku latach niewidzenia znalazł starego druha na ostatecznym niemal stopniu upadku.

Przeszło od lat dziesięciu człowiek ten prowadził życie skończonego hulaki. Grał w karty, robił długi, pił nałogowo. Po kilkogodzinnem wysiadywaniu w biurze, gdzie na skutek długoletniej praktyki zupełnie już machinalnie sumował olbrzymie szeregi cyfr, wychodził na miasto i nie wracał, aż brzask następnego dnia przypominał mu o krótkim chociaż spoczynku. W początku miesiąca włóczęga zaczynała się od porządniejszych i droższych restauracyj;

przy końcu spadała do najmniej wybrednych i najmniej już chyba posądzanych o dobrą reputacyą knajp. Podobne stopniowanie stosowało się również do przebiegu wszystkich nocy na ogół. Zachód słońca żegnał go w towarzystwie »porządnych« kolegów i znajomych, nad szklankami porządnego piwa lub wina — o brzasku porannym znużona głowa słaniała się nad stołem najlichszej jakiejś dziury zamiejskiej. Zdarzało się, iż po parę dni nie wracał wcale do domu; wówczas następował parodniowy odpoczynek, bez ruchu, jadła i napoju — jak oto właśnie dzisiejszy.

Malczak znał z opowiadań historyę dawnego przyjaciela i sądził, że potrafi obojętnemi oczyma patrzeć na jego położenie. Przerachował się jednak. Przez te kilka godzin spędzonych u niego nie mógł zwalczyć coraz silniej opadającej go żałości. Przychodzą chwile, w których chciałby go objąć ramionami, przycisnąć do swojej wiernej piersi i zapłakać głośno nad nieszczęsnym. Nie czyni jednak tego; a to nietylko dlatego, iż obawia się go upokorzyć, lecz również wydaje mu się, iż wszelki wybuch najszczerszej bodaj i najgłębszej litości nie da się porównać z głębokością jego nieszczęścia. Wogóle, nie widzi jasno co trzeba zrobić, aby go wyciągnąć z otchłani. To jest, o wyciągnięciu właściwem zdaje mowy już być nie może, ale chciałby otrząsnąć go chociaż chwilowo, choćby coś nie coś... sam zresztą nie wie co.

Teraz zaś, w obecnej chwili, pragnie przedewszystkiem wyrwać go z tej pustej, wstrętnej nory, przesiąkniętej dymem tytoniowym i wyziewami alkoholu, gdzie wszystko wygląda jak po pożarze, zniszczone, zakurzone, lecące w strzępki. Usiłuje go wynieść z tego otoczenia, w którem, jak zwierz w barłogu, przeleżał dni kilka, sam na sam ze swoją nędzą, z własną myślą, która może czuwała.

Chciałby wynieść go na świeże powietrze, na świat: potem zaprowadzi go do siebie, do hotelu. Może uda mu się przemówić do niego; wszak niegdyś miał trochę nad nim wpływu.

Nadzieja ta nabiera coraz więcej pozorów pewności w miarę jak dawny kolega coraz więcej poddaje się ręce despotycznej piastunki.

W ostatniej chwili prawie nic już do siebie nie mówią, z coraz większym pośpiechem zabierając się do wyjścia.

Lecz kiedy Malczak odnalazł jego kapelusz i z pewnem zakłopotaniem obrócił w ręku parę razy, przyglądając się uważnie, przyjaciel jego ozwał się nagle głosem stanowczym, rzucając laskę w kąt.

— Nie pójdę!

Usiadł na kanapce, pochylił się i splecione ręce rzucił na kolana.

Malczak stanął osłupiały. Przemknęła mu przez głowę myśl, iż wszystkie jego zabiegi i cała dyplomacya w łeb wzięły. Zafrasowany i zbity z tropu patrzał na towarzysza i czuł się zupełnie bezradnym.

— Bo nie chcę — zaczął ten, tłumacząc się niejako — nie chcę abyś... — i nagle głos podniósłszy wybuchnął: — Abyś wstydził się za mnie!

Porwał się, odszedł ku oknu i milcząc patrzał w szyby.

Malczak uczuł znowu, jak mu serce ścisnęło się bólem, nie znalazł jednak słów na wymówki. Domysł przyjaciela wydał mu się nazbyt potwornym.

— Kiep jesteś, — odrzekł tylko z goryczą; poczem zwrócił się do stołu i szybko nasypywać począł papierosa.

Jakiś czas trwała niezmącona cisza.

Wreszcie stojący u okna odwrócił się. Był bardzo zmieniony, jak gdyby postarzał nagle. Ożywienie, które go nie opuszczało przez cały czas odwiedzin przyjaciela, zgasło nagle. Twarz mu pociemniała, rysy stały się sztywne, przygarbił się, nawet ramiona zwisły niedołężnie. Wyglądał jak człowiek, co długo w ziemię patrzał i nie czeka już niczego.

— No, to idźmy, — wymówił zwolna, nie patrząc na przyjaciela.

Wyszli.

Instynktem wieśniaka, Malczak, sam nie uważając tego, trzymał się w tej bezplanowej przechadzce ulic wysadzanych drzewami, placów upstrzonych choćby kępką zieloności. Po jakimś czasie znaleźli się w miejskim parku. Że jednak o tej porze, przy dniu świątecznym, był tam ścisk nieledwie i na swobodną pogadankę zgoła rachować nie było można, zaproponował więc Malczak, aby się przejść za miastem.

Towarzysz jego, na którego pobladłej twarzy znużenie wybijać już poczynało, skinął głową w milczeniu i zaraz obaj zwrócili się ku wyjściu.

Słońce zniżało się ku zachodowi i pośpieszać musieli aby im zmrok na błoniach zamiejskich nie zapadł. Drogę znali dobrze. Niegdyś w dzieciństwie przebiegali nieraz ten gościniec pełen mącznej kurzawy, obrzeżony ścieżką wijącą się wśród drobnej zieleni i licznych złotych mleczków. Zaledwo skręcili w ostatnią uliczkę, dolatywać ich zaczęły powiewy od łąk i wody. Znanym torem, nie

umawiając się poprzednio, zboczyli wkrótce z drogi wprost na ścieżkę prowadzącą nad brzeg rzeki. Przecinali tak łąkę, wilgotną nieco, lecz pełną rozkwitłych ziół. Tak robili zawsze wówczas, w swojej dawnej młodości — dwadzieścia lat temu — kiedy biegli wykąpać się, łowić ryby na wędkę, lub włóczyć się, włóczyć bez celu i pożytku, kiedy to zbiera się tyle spostrzeżeń i wrażeń na życie całe — i tyle niezapomnianych wspomnień.

Nie byli tu od owego czasu. W okolicy może niejedno się zmieniło, ale łąka tak samo rozkwitała i te same biły z niej aromaty, ten sam niezmącony namiot czystych błękitów rozpościerał się nad ich głowami; wiedzieli, że tam, na niewielkiem wzgórzu, na którym za chwil kilka staną, ta sama rzeka, co niegdyś odbijała młodzieńcze ich postacie, twarz przy twarzy pochylone ku sobie i teraz szerokim zakrętem w dal popłynie, unosząc na sobie obraz wybrzeża i blaski niebiosów.

Malczak zauważył, iż odkąd wstąpili na łąkę, towarzysz jego ciągle przyspieszał kroku. Jakoż rzeczywiście chciało mu się coprędzej dosięgnąć wzgórza, aby znów objąć wzrokiem ów dawny, zatracony gdzieś w głębiach pamięci krajobraz. Po niedługiej chwili dosięgli celu; kilku przyspieszonymi krokami wbiegł na wzgórze; stanął, odetchnął głęboko i powiódł wejrzeniem dokoła.

Miał przed sobą rozwiniętą kartę szeroko rozłożonego obrazu; pasma łąki przeczyście zielonej, na którą zachodzące słońce rumiane smugi rzucało z ukosa, pasma płowo srebrzystych niw, stojące w zadumaniu z pochylonemi głowami młodych kłosów, lekkie fale wzgórz, znaczone ciemniejszemi plamami zagajników, a na dalekich krańcach ciemna linia boru, trzymająca na grzbiecie strop niezmierzonego błękitu. Z prawa biała droga, z rzadka wysadzana krzywemi wierzbami, biegła długą, skręcającą się linią w szarzejącą, nieznaną, w mgłach przestrzeni ginącą dalekość; bliżej, u stóp patrzącego, rzeka łuk zaginała i na jej zgarbionej fali połyskiwał czerwony odblask zachodu.

Zwolna a nieustannie toczyły się nurty, szemrzące u brzegu cichutko; czasem w nadbrzeżnych krzewach zaszeleściło ptactwo, czasem na środkowym jej biegu plusnął pletwą szczupak; i znowu fale płynęły w ciszy — niestrudzone pielgrzymki, w czystą, aromatów pełną, nieznaną dalekość.

Słońce zwolna za lasy zapadło i wnet po stropie niebieskim rozsunęły się długiemi strzałami świetlne smugi różowe; zrzadka je tylko przeciął czarnem skrzydłem wracający do gniazda ptak. Zachód cały gorzał złotawą jasnością. Powietrze nasycać się za-

częło rzeźwiącą wonią, przemknął powiew cichy, lekki, wilgotny, wonny — westchnienie spracowanej ziemi.

Długo, ciekawie, chciwie rozglądał się w obrazie stojący na wzgórku człowiek. Dawno nie widział zielonych przestrzeni; wolny powiew pól od bardzo dawna nie owiewał mu twarzy. Nie myślał, prawie zapomniał o nich. Zdziwienie nim owładło. To wszystko tak było różnem od tego, na co patrzał codziennie. Zapomniał, iż przyroda posiada takie blaski i takie wonie i może tchnąć takim majestatycznym spokojem.

Lecz zadziwienie prędko gasnąć zaczęło pod ogarniającem go upojeniem. Odwykł od powietrza wolnej przestrzeni i aromaty wieczorne działały nań zbyt silnie. Owładnęło nim osłabienie, nogi się pod nim ugięły; usiadł, prawie legł na wzgórzu.

Przymknął oczy; wpół otwartemi ustami, głębokim oddechem całej piersi pił te wonie bijące z ziemi, te sycące powiewy powietrznych fal, te wilgotne aromaty łąk i boru. Począł doznawać uczucia dziwnej lekkości, chciało mu się roztopić w tych wieczornych tchnieniach, lub lecieć kędyś, jak ptak głodny przestrzeni.

Wzbierać mu zaczęło w piersi jakieś dziecinne rozrzewnienie. Zechciało mu się ręce do kogoś wyciągnąć, przycisnąć czyjąś głowę do piersi. Nie obejrzał się jednak na przyjaciela; obawiał się, iż jeśli spojrzy na niego, rozpłacze się jak dziecko.

Przeszła tak długa chwila. Malczak myśląc, że towarzysz jego usnął zmęczony, nie przerywał milczenia.

Lecz on po niejakim czasie podniósł powieki i jakby zbudził się z głębokiego snu, szeroko otwartemi oczyma patrzył przed siebie.

I wówczas zaczął myśleć.

Oddawna powziął postanowienie nie zastanawiać się nad niczem. Wszelką głębszą myśl zagłuszał w sobie skwapliwie, bo wiedział, iż na końcu każdej znajdzie — samobójstwo. A śmierci bał się niewymownie. Łatwiej już było znosić niedolę swego nędznego życia i nawet tę wiekuistą a dotkliwą jak razy noża pogardę dla samego siebie, która niekiedy napadała go znienacka. Bał się śmierci; czuł, że w ostatniej chwili rękaby mu drgnęła — i raz jeszcze pogardzał sobą.

Nie miał więc nigdy zwyczaju zamyślać się nad sobą. Wiedział, że stacza się w przepaść i patrzał w nią martwemi oczyma. Nie posiadał środka, któryby go powstrzymał w tem staczaniu się w dół. Powiedział sobie nie raz i nie dziesięć razy: ginę! i ginął z zupełną samowiedzą, z chłodną ciężkością spadającej bryły.

Niekiedy otwarta przepaść — coraz już bliższa — wiała nań czarnym swoim chłodem; samopoznanie mimo jego woli wyraźne szkicowało mu obrazy. Wówczas włosy jeżyły mu się nad czołem i pot występował chłodnemi kroplami. Lecz miał na to radę: drżącemi rękami sięgał po szklankę, wsysał się chciwie wargami w brzeg szkła i pił bez oddechu, z pewnym wstrętem, jakiego nieraz w przesycie trunków doznawał. Pił jednak do końca — do ostatniej kropli, do ostatniego grosza. Wówczas, wpół przytomnego ktokolwiek do domu odwoził. A potem następował bezruch, wyczerpanie, apatya — stan pół-jawy, w którym nie myśli się nic.

Lecz teraz oto chciał myśleć.

Zrazu byly to tylko obrazy. Pozrywane w przyczynowym biegu, gromadzące sią bezładnie, zmieniały się szybko, następując jedne na drugie, plącząc przeszłość bliższą i dalszą, wiodąc za sobą mniejsze lub większe cierpienie wspomnień. Lecz teraz nie obawiał się bólu. Patrzał w te obrazy ze stanowczością, jakby w chwili niezbędnego obrachunku, w chwili ostatecznej rozprawy.

I począł snuć wnioski i uogólniać. Żywemi nićmi myśli wiązał obraz z obrazem, szczegół ze szczegółem. Już nie obawiał się, że w wyniku ich znajdzie śmierć. Zdziwił się tylko, jak dalece myśl samobójstwa jest w nim starą, jak zdaje się być zupełnie dojrzałą, niby owoc, który rósł kędyś za jego oczami, nalewał się sokami, pełniał, i teraz lada podmuch strącić go może. — Szukał tej pierwszej zwrotnicy w swem życiu, która nagle tor jego drogi zwróciła w dzisiejszą stronę, tak daleko leżącą od marzeń jego młodości. Grzebał we wspomnieniach; z gorączkowym pośpiechem wracał po krwawej nitce Aryadny do pierwszych wrót, które dla niego niegdyś otwarły się do życia. Kędy szedł, że aż tu zaszedł? Po jakichś nikłych, zupełnie nieznaczących okruchach; po tej skromnej ścieżce, na której słabi cisną się do zewnętrznych ram życia z obawy, aby nie upaść — i upadają; właśnie dlatego, że szukali zewnątrz siebie podpory. Szedł na szczudłach i szczudła padły; nie wytrzymały pierwszej próby. A potem już się wszystko splątało — coraz gorzej, coraz straszniej — i oto ma teraz jedno tylko przed sobą: hańbę ostatecznego upadku lub śmierć.

Śmierć? To tylko? — Niema-ż innego wyjścia jak znicestwienie? jak ucieczka z pola straconej walki? — Wszak on nawet naprawdę nie walczył nigdy na ostre, nie stawiał się naciskającym rzeczom niewzruszenie. I teraz, przyszło mu głową nałożyć? Ma-ż się poddać biegowi rzeczy ludzkich?

A oto po za niemi — na ziemi — życie bije pulsem bujnym,

wszędzie tchnie ta moc życia i dźwiganie się naprzód — samobójstwa w przyrodzie niema.

I niema hańby upadku. Jest natomiast walka odważna i uporczywa; a jeśli słabszy upada, to na placu boju, i jeśli ginie, to nierozbrojony.

Wszakże rozbrojonym zwać siebie nie może. Nie stracił jeszcze wszystkich darów życia. Jest w sile wieku; potężne jego zdrowie nie ugięło się, nawet w tym sposobie życia, jaki wiódł dotychczas. Pijane noce nie odebrały mu jeszcze umysłu. I nie rozmiłował się w rzeczach niskich; jak dawniej, wstręt w nim wzbudzają, zawsze ten sam wstręt ohydy. W głębi serca nie przeniewierzył się żadnemu z dawnych swoich bóstw; nie przestał czcić dobra — zaprawdę, nie przestał! Tylko odszedł kędyś daleko i ono świeci w wysokiej przestrzeni, zawieszone u szczytu, jak gwiazda — daleka, jednak prawdziwa. Mógłby chcieć — i mógłby raz jeszcze zwrotnicę drogi swojej odwrócić. Z lekkiem sercem otrząsłby z nóg kurzawę, zrzuciłby zszargany płaszcz...

A gdy tak myślał, dokoła niego powstawała muzyka wieczoru; wszystkie tajemnicze głosy w dzień niesłyszane, przemówiły w ciszy zasłuchanego zmierzchu. Przemknął lekki powiew i zakołysał rozmarzonemi głowami smukłych traw, przepłynęła woń macierzanki, zapach boru przeciągnął; w powietrzu rozpłynęło się tchnienie, szepcące zda się o czemś, co nie jest naszem dzisiejszem *ja,* o tem, co po za tajnią nocy *jutro* przyjść może. Daleki horyzont świetlił się głębiami jasności, nęcił tajemniczem przestworzem, napełnionem falami gloryi, obietnicą nieśmiertelności.

W wonnej, wilgotnej ciszy czujny słuch mógłby pochwycić najlżejsze drgnienie; można byłoby słyszeć, jak prostują się liście traw, jak kłosy podnoszą głowy, jak po liściastych gałęziach wierzb od czasu do czasu przeleci westchnienie. Lecz człowiek skołatany i smutny nie tonął w otaczających go szczegółach okiem i duchem miłośnika i znawcy; na serce jego, oddawna obce temu wszystkiemu, uderzyła naraz jedną falą wielką ta wszechświatowa, władnąca życiem potęga. Oczyma, uszami, oddechem lała mu się we wnętrze atmosfera przyrody; czary wieczoru dotykały zapadłych głębi jego duszy, odgarniały z niej szary popiół zużycia, długoletnie pleśnie stojącej wody. I czuł, jakby mu ktoś nagle ducha obudził, otworzył zaślepłe oczy, wyniósł na silnych rękach i mocą weń tchnął.

Przestał myśleć o życiu steranem, o zszarganej przeszłości. Szybsze, gorętsze, harmonijne opływały go tony; przed zapatrzonemi w dal oczyma przemijały obrazy barw pełne i życia. Wsta-

wały dokoła niego prace ludzkie, splatały się i krzyżowały różnorodne wysiłki, przeplatywały odgłosy walk i szelesty pochodów.

W pamięci przesunęły mu się postacie jego dawnych niegdyś przyjaciół — pracujących, walczących lub gdzieś cierpiących daleko.

Śmierć? — Nie! Właśnie on życia pragnie. Czuje, jak może żyć, jak potrafiłby żyć. Od lat tylu ginie, pozornie umiera — raz przecie pragnąłby żyć, jak żyje świat cały, jak żyją ci, co czują siłę życia.

Żyć — żyć! spragnioną piersią, spieczonemi ustami wchłonąłby w siebie ten ożywczy, wszystko przebaczający prąd zdrowego życia. Mimo wszystkich zawodów i bolów, mimo wszystkich cierpień, jakie przechodził, żyć pragnie — żyć jasnem, spokojnem życiem. Jego dłonie potrzebują nareszcie czynu — wlałby weń wszystką myśl swoję i wszystkie chęci. Chce żyć, chce być człowiekiem jak inni. I będzie miał w duszy niezmąconą pogodę, będzie mu zupełnie widno; żaden głos nie będzie go budził po nocach szeptem, że tchórz i fałsz własnym przekonaniom zadaje...

Choćby lat kilka takiego życia! A tam, niech przyjdzie, co ma przyjść. Spotkałby wszystko jasnem okiem.

I znowu stanęli mu w myśli dawni ludzie, dawne dzieje — kiedy żyło się nie tak, jak dzisiaj, kiedy szło się ku czemuś innemu. I błysnęła mu znów w myśli ta, którą kochał jedynie, której nigdy naprawdę zapomnieć nie zdołał. Nie wspominał o niej nigdy, bo było to jak uderzenie noża — lecz teraz ze starym bólem mieszał się jakiś uśmiech tkliwy.

Kiedyś płakała rzewnie nad śmiercią przyjaciela, a on patrząc na perliste jej łzy doświadczał ostrego bolu. Wierzył, że kocha go niezmiennie i na wieki, a jednak skryta zazdrość podstępnie szarpała mu wnętrze — zazdrość względem skazańca, szesnastu roztrzaskanego kulami.

Lecz oto teraz pomyślał, niechby takie łzy — jej łzy — po nim płynęły...

I zachciało mu się umrzeć z głową w jasności męczeństwa, zachciało mu się takich perlistych łez, w ostatnią noc na piersi jego wylanych, startych pasmami jedwabnych włosów.

Jakby się ona zdziwiła, gdyby go takim ujrzała! Przyszłaby do niego — nie wątpił o tem ani na chwilę — i tak samo w bólu zaciskałaby drobne palce i te same łzy z szafirowych płynęłyby oczu... Nie, nie te same — a gorętsze, rozpaczniejsze i słodsze...

Jakbyś się ty zdziwiła, pieszczoto moja! Zdziwiłabyś się? Co? — powtarzał w sobie i uśmiech cichy wypływał mu na usta

i oczy zachodziły łzami. Przychodziłabyś do mnie, a jabym głowę twoję brał w dłonie, całował twe czoło; uśmiechnąłbym się do ciebie i powiedział ci tylko: a co, maleńka moja? a co?...

I uśmiechał się istotnie, uśmiechał do tej wizyi dalekiej, do tej rozpaczającej nad śmiercią jego kobiety.

Skłonił głowę na wilgotne trawy, nasycone rosą wieczorną i przymrużywszy oczy patrzał w dal, przed siebie. Zdawał się śnić cicho.

Lecz w głębiach jego ducha pracowała myśl czujna; zbudzona siła istnienia tętniała w każdym pulsie.

Przed nim, daleko, na blednącym zwolna zachodzie gasły smugi różowe i na przejrzystym oceanie powietrza zarysował się lekko blady sierp. Wzrok marzącego tonął w falach półświatła i zawisł na nikłym zarysie miesiąca. I zdało mu się wówczas, że to wizya jakiejś bladej, dalekiej twarzy, która zaledwo widziana, wnet jednak zwróci się ku niemu i powie mu słowami bez dźwięku.

»Jestem powracającem zmartwychwstaniem, jestem gwiazdą zmęczonych duchów, co w cień zaszły, a pragną wyjść na światło; jestem stróżem śpiących nieśmiertelnych, których dusze usnęły, a ja ich ręką dotykam i mówię: wstań i pójdź! Nazwij mię nadzieją zatrutych i wiarą ślepych, bo moje dziś jest nikłe, lecz jutro twarz moja na te same równiny zleje potoki światła i promienieć będzie na wysokościach. Bo w przyrodzie niema śmierci, jest tylko sen i zajście, a błogosławiony ten, kto umie powstać i iść...

Powstanie i gotów jest iść. Nie dlatego, aby potrafił być światłem dla równin swojej ziemi, ani dlatego, aby świat zwał go błogosławionym — lecz wstanie i pójdzie w czystą jasność prawdy, bo dusza jego jest zmęczona czołganiem się po padołach i tęskni bez miary za dobrem i czystością.

Objęła go cisza. Nad wodą, nad poziomem łąki, nad falowaniem wzgórz rozpościerał się majestat spokoju. Milkły wszelkie odgłosy. Z łąk podnosiły się mgły i niewidzialnie wznosiły się ku czuwającym u góry niebiosom.

Lecz w ciszy tętniało życie. Na nieumilkłym warsztacie przyrody szła wielka praca i wytwarzało się nowe życie ku jutrzejszemu dniu. A tchnienie tej pracy wiało na serce ludzkie i zmęczonemu mówiło:

Czuwaj z nami, w nas życie...

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Dr. Ryszard Kunicki.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.